87.882

M. McKAY

87882

ATLANTYDA

M. N. MUZEUM KÖNYVTÁRA

A N MUZEUM KÖNYVTÁRA
H. Nyomt. Növedéknapló
1926 év 57. sz.

MAURYCY JOKAI

ATLANTYDA

(HISTORJA ZAGINIONEJ OCEANJI)

Przełożył z węgierskiego

A. LANGE

A Magyar Nemzeti Múzeum
Széchenyi könyvtárának
Kartó 1926, II, 15. Divéky A.

BIBLJOTEKA GROSZOWA SP. Z OGR. ODP.
95 GROSZY

WYDAWNICTWO „BIBLJOTEKI GROSZOWEJ" S-ki z o. odp.
Warszawa, ul. Moniuszki Nr. 11

R 1965 87882
R 2
A. M. MUZEUM KÖNYVTÁRA

BIBLJOTEKA GROSZOWA

WYDAWNICTWO TYGODNIOWE

REDAKTOR H. ZAJĄCZKOWSKI

WYDAWCA BIBLJOTEKA GROSZOWA
S. z o. o.

WARSZAWA, ul. MONIUSZKI 11.

WARUNKI PRENUMERATY:

Z przesyłką pocztową kwartalnie Zł. 9 gr. 95.

Prenumeratę przyjmuje Administracja Bibljoteki Groszowej.

Tartalom: Jókai Mór . . . . . 3 l.
Atlantis (Oceánia) . . . 8 l.
A véres angyal . . . . . 91 l.
A lengyelek fehér asszonya . . . . . 128 l.
Az északi sarkon . . . 132 l.

Polska Drukarnia w Białymstoku, Sp. Akc., ul. Warszawska 59a.

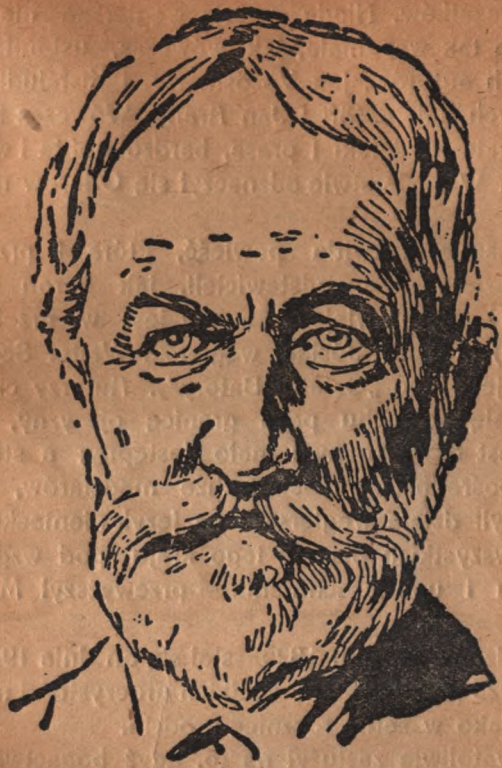

MAURYCY JOKAI

Rok 1848 był dla Węgier rokiem nietylko wyzwolin politycznych, ale przedewszystkiem była to godzina przebudzenia najwyższego sił twórczych genjuszu narodowego. Związana z potężnym duchem „wiosny ludów"—ukazała się na Węgrzech cała falanga pierwszorzędnych pisarzy, zarówno poetów,

jak i prozaików. Nigdy poezja węgierska nie przemawiała tak wspaniale, jak wówczas, ustami nieco starszych autorów, jak Vözösmarty i Kisfaludi, oraz młodszych, jak Petöfi i Jan Arany. Wówczas też powstał teatr węgierski i prasa, bardzo obfita i wszechstronna. W malarstwie odznaczył się Orlar, w muzyce —Liszt.

Nareszcie zakwitła powieść, która i przedtem miała świetnych przedstawicieli, jak baron Eötvös (jego „Notarjusz wiejski" znany jest w przekładzie polskim) oraz M. Jósika, węgierski Walter Scott (po polsku jest jego „Ostatni Batory"). Autorzy ci przedostali się potrochu poza granicę ojczyzny, której język jest mało znany i mało dostępny; a stało się to za pośrednictwem samychże madziarów, którzy tłumaczyli dzieła węgierskie na język niemecki. Jednakże wszystkich pisarzy tego kraju pod względem rozgłosu i upowszechnienia — przewyższył Maurycy Jokai.

Urodzony w roku 1825—stał się on dnia 19 lutego roku 1925 przedmiotem wielkich uroczystości narodowych—jako w setną rocznicę urodzin.

Niewątpliwie zasłużył na to, gdyż bogactwo jego wyobraźni, umiejętność malowania typów ludzkich, męskich i kobiecych, bohaterskich, wspaniałych, szlachetnych, niepospolity dar obrazowania i opowiadania—tworzenia sytuacyj nadzwyczajnych, niespodziewanych—już to tragicznych do najwyższego stopnia, już to niesłychanie komicznych i zabawnych; wreszcie—moc wzruszania serc czytelników do głębi —dają mu prawo do sławy długowiecznej.

Rok 1848 był esencją jego twórczości: odrodzenie ojczyzny—w której walkach Jokai *magna pars fuit*—było tym motorem, który poruszał wszystkie fibry jego duszy i którego płomieniem było wielkie słowo: Wolność.

Główne jego powieści toczą się koło roku 1848, tj. koło walk o wolność Węgier. „Inne czasy, inni ludzie", „Synowie człowieka o kamiennem sercu", „Zamek bezimienny", „Czarne diamenty", „Poruszymy z posad ziemię" i wiele innych osnute są na sprawach tego pięknego momentu dziejów węgierskich.

Po za tem sięgał Jokai w przeszłość („Złote czasy Siedmiogrodu", „Turcy na Węgrzech", „Kobiety z Egeru", „Biała Pani z Liwoczy") i wreszcie w zjawiska współczesne, po rewolucji 1848 roku—(„Dziś", „Moje, twoje, jego", „Węgierski nabab", „Karpathy Zoltan", „Złoty człowiek", „Cygański baron", „Bogaci nędzarze"). Pisał też wiele innych utworów, czasami wprost poematów, prozą, jak np. „Oceanja. Historja świata zaginionego", gdzie opowiada fantastyczne dzieje modnej dziś Atlantydy, a czyni to w sposób niezmiernie wdzięczny i przytem tak, jakby przeczuł wszystkie nowoczesne hipotezy Manziego i Devigne'a w tym przedmiocie. Wiele tych utworów tłumaczono na język polski, przeważnie z niemieckiego, choć niektórzy tłumaczyli też z węgierskiego oryginału (B. Jaroszewska, A. Lange). Bądź jak bądź, tym przekładom zawdzięczamy znajomość dzieł tego pierwszorzędnego pisarza, którego nie dziw, że naród cały kochał nie zwyczajnie, choć krytyka niejedno miała mu do zarzucenia.

Dla nas ten kult wolności—jakim dyszały powieści Jokaia—był źródłem szczególnych wzruszeń, gdyż pod ich maską, za naszych lat młodzieńczych, przemycaliśmy własnie marzenia o wolności. Duch rewolucyjny roku 1848 wiązał się w naszem sercu z innemi momentami insurekcji, spisków i buntów. I można śmiało powiedzieć, że niemało Jokaiowi zawdzięczamy.

Jokai miał w sobie pierwiastki, które dadzą się spostrzec u innych autorów, jak Walter Scott, Aleksander Dumas ojciec, Wiktor Hugo, nawet Jules Verne; ale najwięcej ma pokrewieństwa z Sienkiewiczem i można go nazwać Sienkiewiczem węgierskim.

Gra on tam i grać będzie rolę podobną. Sienkiewicz tworzył w okresie niedoli narodowej „dla pokrzepienia serc". Jokai przeciwnie pracował w momencie bardzo świetnym dziejów swej ojczyzny, momencie, którego wagi, niestety, Węgry nie oceniły należycie. Wywalczoną wolność zrozumieli zbyt samolubnie—i poskąpili jej tym narodom, co żyły w granicach ich kraju. Zbyt posłuszni byli Berlinowi. Odwróciła się karta. Dziś Węgry są nieszczęśliwe. Ale ten ogień, który zapłonął w roku 1848—wielką poezją węgierską—nie zamarł. On żyje—i tylko rola jego się zmieniła. Jak Petöfi dziś inaczej będzie czytany, tak inaczej będzie czytany Jokai. W nieszczęściu swojem Węgrzy na kartach jego powieści—znajdować będą „pokrzepienie serc". Jokai—który był dla nich dotychczas tylko malarzem fantastycznych wizyj przeszłości i teraźniejszości—stanie się ich istotnym Sienkiewiczem.

Bo choć wielu poza nim bardzo dobrych powieściopisarzy posiadają Węgrzy—to jednak żaden mu nie dorównał.

M. Jokaj napisał 300 powieści. Wydał nadto kilka zbiorów poezji (1880); między innemi ułożył piękną baladę pt. „Biała Dama Polski", osnuta na tle powstania z roku 1863. Mniej szczęśliwy był w twórczości teatralnej. Wspaniale natomiast opracował część węgierską dzieła o Austro-Węgrzech, które zapoczątkował arcyksiążę Rudolf. Pracował też, jako publicysta i feljetonista różnych dzienników, jak „Esti Lapok" (Listy wieczorne), „Hon" (Ojczyzna), „Nemzet" (Naród) i humorystycznej „Komety".

W roku 1848 ożenił się ze sławną aktorką Różą Laborfalvi, która umarła w 1882 r., mając lat 70, ożenił się powtórnie z młodą dziewczyną — mimo protestów rodziny—i napisał z tego powodu romans pt. „Człowiek 70-letni nie jest człowiekiem starym".

Istotnie do końca swoich dni zachował niepospolitą żywotność i młodzieńczość ducha. Nie zestarzał się on nigdy, jak nie zestarzały się jego dzieła.

Umarł w roku 1904.

ATLANTYDA

I

Wielki filozof klasycznej Grecji, Platon, wspomina w swoich pismach o osobnej części świata, której historycy i geografowie szukali gdzieś na morzu między wyspą Świętej Heleny a brzegami Afryki.

Poeci i filozofowie nazywali ją w starożytności Atlantydą, Oceanją, Szczęśliwemi wyspami, ziemią Hiperborejską.

Jeszcze wówczas ziemia była bóstwem i budowano dla niej ołtarze; jeszcze wówczas nie doszli ludzie do tej wiedzy, że ziemia jest tylko drobnym atomem wobec wielkiej kuli słońca, które ją w przestrzeniach niebieskich w równowadze utrzymuje i naprzód popycha. Nie wiedzieli, że ziemię można wymierzyć, granice jej oznaczyć, odgadnąć skąd powstała, gdzie stoi, dokąd biegnie. Jeszcze wówczas ziemia była bóstwem: tak była nieskończona, tak bezgraniczna, tak niezmierna, jak ono, a słońce i gwiazdy były jej sługami.

Nad ziemią było niebo, pod ziemią był Styks, a na ziemi samej ludzie, przerażeni ogromem obudwu. Nikt nie wiedział, jakim sposobem z tych błę-

kitów wysokich, przez atmosferę powietrzną, przypływa do nas promień słońca i że tam na wysokościach tak jest zimno, jakby tam bogów wcale nie było i że ziemia jest tylko cienką skorupą kuli, w której wnętrzu szatani palą wieczny ogień, burząc spokój jej powierzchni.

Ziemia była wówczas wolną równiną; poeta mógł wyobrażać sobie poza znanemi krajami nowe części świata, gdzie żyli ludzie inni, skąd pochodziły cuda, a wyobrażenia te zmieniały się stosownie do fantazji ludu.

Jakże wspaniały widok przedstawiał się duszy poety! Na trzy tysiące lat przedtem żyły duchy poetyczne u dwojga wrót znanego świata starożytności. Pierwszy na wysokim północo-wschodzie żył na śnieżnych wierzchołkach Atlasu i granicą oddzielał ludy ówczasne od nieznanych przestrzeni. Za tym łańcuchem gór huczały walki synów Goga i Magoga, których zaborca Aleksander Wielki odciął od świata żelaznemi wroty, a którzy później wciąż kruszyli góry, podrywali wyspy, kopali drogi podziemne, aby się od kajdan uwolnić. Biada światu, biada tym, którzy żyli wtedy, gdy odkryli drogę przez lesisty Imaus i gdy stanęli wobec twarzy kosmatych, wobec czaszek kwadratowych, wobec nieznanej mowy, oręża i ubiorów; gdy otoczyli ziemię z końca w koniec, jak olbrzymia ręka potężnego ducha, który napełnił te puste przestrzenie groźnemi ludy, wspaniałemi miastami, bohaterami i królami i nagle zburzył to wszystko, aby inne malować obrazy.

Na drugim końcu ziemi, na ciepłym południo-

zachodzie, gdzie fantastyczne widziadła kąpią się w błękitnych lustrach wód morskich, tam marzył poeta szczęśliwszy świat, gdzie niebo i ziemia w słodkim spoczywają uścisku, gdzie powietrze wolniejsze, miłość słodsza, mąż odważniejszy, kobieta wierniejsza; gdzie blaski są bez cieniów, gdzie radości bez smutków, gdzie kwiaty nie więdną, gdzie wszystko wiecznie młode: trawa i drzewo, i serce ludzkie.

Zadziwiająco piękne były te ułudne obrazy narodów starożytnych, które ze wstrętem i strachem ciemnemi, ponuremi barwy malowały północ, a na nieznanem południu oczekiwały ziszczenia niedościgłych nadziei, tam wysyłając swe mary i westchnienia.

* * *

W owym czasie — kiedy powstający Rzym zaczynał być panem tej części świata, którą ówcześni geografowie zwali Ziemią Znaną — drugie młode miasto rodziło się nad brzegami morza; a powstało ono prawie naprzeciw tego wielkiego buta, który się zowie Italją, co tak wielką rolę miał w świecie odegrać i to nowe miasto miał zdeptać.

Nowe miasto świata wyrosło z ziemi również szybko, jak Roma. Jeszcze żyła legenda o pięknej założycielce miasta Dydonie, która kupiła od obcego króla taką miarę tej ziemi, jaką skóra wołu obejmie, i, pokrajawszy ją na cienkie rzemienie, otoczyła nią nabyty grunt i wnet stała się panią krajów i mórz okolicznych i stworzyłaby pewnie miasto największe na świecie, gdyby na nim Romy nie było. Dwa

główne punkty nie mogą być na świecie, około dwóch osi nie może się obracać ziemia.

Imię młodego miasta było Kartagina.

Trzysta trzydzieści lat liczyła Kartagina od swego założenia, co, podług rachuby naszej, wyjdzie na lat pięćset pięćdziesiąt przed narodzeniem Chrystusa — gdy zdarzył się w niej wypadek następujący:

Pewien wódz okrętu handlowego—który często opływał brzegi Afryki i długie lata już od ojczyzny był oddalony, tak, że za umarłego był uważany i żona jego zamąż wyszła, a miejsce jego inni zajęli — zjawił się nagle, gdy go nikt nie oczekiwał, w porcie rodzinnego miasta, w porcie najbogatszym na świecie, jakim nie był nawet Tyr, najstarożytniejsze miasto handlowe.

Żeglarza tego zwano Hannonem, a imię jego wnet rozbrzmiało po całem mieście i każdy ze drżeniem dowiadywał się, że powrócił Hannon, którego tak długo mieli za umarłego.

A przywoził ze sobą skarby i drogie kamienie, o jakich nikt nawet we śnie nie marzył.

Był zwyczaj u ludu kartagińskiego, że kupcy, którzy w dalekich ziemiach bywali, zaznaczali na marmurowych tablicach czas i przygody swej podróży i tablice owe pomieszczali w świątyni Kronosa, w bliskości Byrsy, świątyni boga czasu; gdyż wówczas już Kartagińczycy wiedzieli, że czas — to największy skarb, że czas — to pieniądz...

Tablice Hannona stały już na ołtarzu Kronosa. Ale nie wolno było tłumowi tych tablic oglądać, tylko starym doradcom, siwym senatorom, którzy

mądrze i uczenie obliczali jaką korzyść państwo na tem odnieść może.

Gdy już tablice Hannona stały przed ołtarzem, nazajutrz wezwał go starosta do swego domu, który zbudował na małej wysepce, między dwoma portami miasta, naprzeciw wrót słoniowych.

Kartago miała wówczas sześćdziesiąt dwie bramy i pięćdziesiąt tysięcy sześćset mieszkańców; trzydzieści murów ochronnych otaczało półkolem miasto nad brzegiem morza, kopuły pałaców lśniły od złota, a nad dworcami unosiły się szczyty świątyń, których ściany były z czarnego marmuru, kolumny z alabastru, kapitele słupów ze srebra, a na dachu złoty bocian o czworgu srebrnych skrzydłach.

Kiedy Hannona archont jeden prowadził przez krwawy most, lśniący od żywicy, którą był wysmarowany, stanęli wpośrodku pod kolumną Baaltis i spojrzeli przed siebie na imponujące ulice miasta, na place obszerne, któremi przebiegały tłumy pracowitego ludu. Całe stado słoni prowadzono w drogę, a na potężnych ich grzbietach leżały wory olbrzymie i stały śmiałe wieżyce.

— Spojrzyj, Hannoniel Czyś widział w twych dalekich podróżach miasto, lepiej zabudowane, więcej zaludnione?

— Widziałem większe — odrzekł marynarz.

— Czy nie czułbyś boleści, gdyby się te pałace rozpadły w ruinę i gdyby, zamiast tłumu ludu, zamieszkały tu węże i nietoperze i gdyby przyszedł tu jaki obcy człowiek, nieznający imienia Kartaginy, i zapytał: — „Cóż to jest? któż co wie o tem?"

— Pewnie, byłaby to szkoda.

— A gdyby tak powiedział: — „Oto było tu niegdyś miasto, władające połową świata, miasto, którego upadek zaczyna się od chwili, gdy powrócił doń z dalekiej podróży żeglarz, zwany Hannonem." Czy i wtedybyś go żałował?

— Niechaj bogowie mnie bronią.

— Zatem zważaj na usta swoje, abyś wiedział, co przed radą masz mówić.

Wkrótce byli w senacie. Starsi miasta siedzieli pod ścianami, a najstarszy senator Hiercos, z siwą, po pas długą, brodą, trzymał w ramionach wielkie marmurowe tablice, na których Hannon czyny swoje opisał.

— Hannonie! — rzekł najstarszy do marynarza — długo byłeś wdali od ojczyzny, czekaliśmy cię i nie wracałeś. Tutaj jest twój pałac, tu skarby twoje, twój bogaty ogród, twoja ojcowizna, tu twoja piękna żona, twoje miłe niewolnice, a jednak tyś umiał być tak długi czas woddali. Czy prawdą jest to, coś na tych marmurowych tablicach napisał?

— Prawdą jest, nie wymysłem.

— Czy prawdą jest, że, pchnięty burzą ku południowi, odkryłeś część świata większą, niż wszystkie, znane dotąd, części świata razem?

— Takem napisał, tak jest.

— Czy prawdą jest, że tam zima ciepła, jak u nas wiosna, trawa tak wysoka, jak u nas drzewo, zwierzę tak rozumne, jak u nas człowiek?

— Zaprawdę, tak.

— Czy prawdą jest, że tam kobieta piękniejsza,

mąż odważniejszy, niż u nas, że tam powietrze samo uzdrawia, suchotnikom daje siłę, bojaźliwym męstwo, brzydkim piękność?

— Tak powiedziałem.

— Czy prawdą jest, że ziemia tam złotym piaskiem pokryta, że góry tam są z drogich kamieni, a na brzegu morza perły i purpura?

— Tak rzekłem, tak jest.

— Czy prawdą jest, żeś widział tam trzcinę, z której miód wypływa; żeś widział tam krzaki, które dają nici, bielsze od śniegu; żeś widział tam drzewa, z których owoców słodkie wino wypływa, a z pod ich kory mleko się sączy?

— Widziałem wszystko i przywiozłem ze sobą okazy.

— A czyś przywiózł ze sobą tego ptaka, który jest rozumny, jak człowiek, który ludzkim mówi językiem i cuda czyni?

— Jest na okręcie moim.

— A czyś mówił już o tem innym?

— Tylko na tych marmurach spisane są moje tajemnice.

— Czy twoi żeglarze nie byli w mieście?

— Żaden z nich portu nie opuścił.

— Wróć do swego okrętu, Hannoniel

Poszli więc razem z nim do przystani.

Późnym wieczorem wywiedli okręt na pełne morze, otaczając go czterema wojennemi nawami, rozdarli jego żagle, zniszczyli jego ster, złamali jego maszty i podłożyli z czterech stron grecki ogień, który w wodzie płonął. Ogniste iskry podpaliły okręt,

a niezgaszony płomień ognia greckiego przeniknął żelazne pokrycia i wpośrodku morza okręt pochłonął Hannona, wraz z jego właścicielem i załogą, i przywiezionym z nowych światów złotym piaskiem, i z owocem chlebowym, i z rośliną miodonośną, i z mlekodajnem drzewem, i z ptakiem gadającym: wszystko to razem doszczętu w wodzie spłonęło.

A w Kartaginie postanowiono, że ktoby o szczęśliwej ziemi Hannona ośmielił się jednem wspomnieć słowem, ten straci głowę na rynku Astarty, a gdyby którykolwiek senator powtórzył choć jedno słowo z tego, co Hannon na tej tablicy napisał, ten w porcie związanym zostanie i z kamieniem u szyi w morze rzucony.

Gdyby bowiem lud kartagiński mógł się dowiedzieć, że istnieje kraj, tak szczęśliwy pod niebem, tłumnie porzuciłby ojczyznę i te pałace rozpadłyby się w ruiny, a węże i nietoperze zamieszkałyby na gruzach i cudzoziemiec takby się pytał o Kartaginę:— „Cóż to jest? któż wie co o tem?"

II

Kiedy Tyr był jeszcze w stanie kwitnącym i kiedy nawy jego aż do Indyj dopływały, żył wówczas w tem mieście bogaty żeglarz, który nazywał się Bar Noemi. Jak widać z nazwiska, był on pochodzenia palestyńskiego; jeden z tych potomków Benjamina, którzy w czternastu mężów wypędzeni zostali z miasta i zabici za obrazę jednej kobiety.

Kara była rzeczywiście zasłużoną. Dzicy ci ludzie zhańbili kobietę, która, jako gość, do miasta przy-

była; dlatego też godziło się znieść ich z oblicza ziemi.

Bar Noemi jednak był wówczas jeszcze dzieckiem, wskutek czego uwolniony został od kary, jako nie mający udziału w winie ojców; wiedział on dobrze, że kara ta nastąpiła na rozkaz Pana, na rozkaz wszechmocnego, mściwega Jehowy, który, wśród błyskawic i gromów, własną ręką napisał na marmurowych, kowanych tablicach:—„Niechaj świętą będzie obcemu człowiekowi twarz kobiety obcej, a kto, jako wróg, przychodzi, niech śmiercią umrze."

Bar Noemi wiedział dobrze, że wyrok wypełniono w sposób bezwzględny i bezlitosny, ale nie porzucał wiary swych ojców, gdy pomyślał o krainach szczęścia, o ziemi obiecanej, o wspaniałych podaniach Syjonu, o błogosławieństwie potężnego a mściwego Boga, który grzechy ojców karze do czwartego pokolenia, cnoty ich zaś nagradza do tysiącznego.

Ale bogowie Tyru i Sydonu, bogowie greccy byli milsi; uznawali miłość na swych ołtarzach i przyjmowali ofiarę gołębia czy kozy, według tego, czy miłość była czysta, czy nieczysta; nie rachowali zresztą nikomu grzechów wesołych, misterjami uczyli śmiertelnika, jak po niepojętych stopniach rozkoszy zbliżyć się do zbawienia lub potępienia.

Bar Noemi nie odwiedzał świątyń Astarty; zamiast tego spędzał święta ojców na postach i modlitwie, oblewał próg swego domu krwią paschalnego baranka i co rok stawiał na dworze swoim namiot, pokryty zielenią. Lud tyryjski pozwalał mu czynić, co mu się podobało, gdyż zawsze ludność handlowa

w rzeczach wiary jest bardzo tolerancyjną; nie mówiono też wobec niego nigdy o wierze Izraela; dość się kłócili ze sobą, jeżeli nie o żelazo, to o srebro i złoto.

Bar Noemi, kiedy dorósł, był najbogatszym prawie z kupców tyryjskich: pięćdziesiąt okrętów wiozło mu srebro, złoto, purpurę, perły i zamorskie zioła — i niosło je z jednej części świata do drugiej. Sam on był najśmielszym żeglarzem. Często całe lata nieobecny w domu, był na swoim okręcie, którego załogę stanowiła wyborowa młodzież hebrajska.

Bar Noemi był pierwszy, który wpłynął na morze Czerwone, który na swym statku do Kartaginy umiał dopłynąć, nie używając do przenoszenia ciężarów z jednego brzegu morza na drugi karków wielbłądzich, co pod Ptolomeuszami było ogromnie płacone i bardzo utrudniało handel. Nikt nie wiedział, nawet z pośród najstarszych kupców, jakim sposobem możnaby było drogę tę skrócić. Przylądek Dobrej Nadziei był wówczas jeszcze dla kupieckiego świata nieznanym punktem, od którego odpychały go nieprzyjazne huragany i burze morskie.

W Kartaginie poznał Bar Noemi córkę pewnego kupca, jedną z punickich piękności, których czaru nie dosięgały nigdy damy rzymskie. Miała ona cerę twarzy jak najbielszą; jasny, prawie w szafran wpadający, bujny włos na głowie; błękitne oko z czarną rzęsą, wąskie, ciemne, łukowate brwi; usta ciemnoczerwone, jak purpura, a skórę gładką, jak aksamit.

Piękne rzymianki, po ukończeniu pierwszej wojny punickiej, widząc, jak ich mężowie stają się niewol-

nikami pięknych cudzoziemek, wszelkiej sztuki używać zaczęły, aby walczyć z pięknościami kartagińskiemi. Malowały więc włosy swoje szafranem, twarz na noc świeżem pokrywały mięsem, usta czerwoną maścią różowały.

Ale Kartaginkom wszystko to dała natura: dała im ona złociste warkocze, bujne i długie, z których w ostatnich klęskach wojennych swej ojczyzny, wyplatały cięciwy do łuków — łuków, które miały w rozpaczliwych dniach Kartaginy łamać szeregi wrogów i bronić twierdz od naporu oręża rzymskiego.

Jedną z takich piękności była Byssenja.

Ojciec był zadowolony z losu, jaki Bar Noemi córce jego miał stworzyć. Kupcy, zazwyczaj, w czasie ważnych i dobrych interesów zakładają sobie kółko rodzinne. Bar Noemi był to nietylko bogaty, ale też i piękny mężczyzna. Był odważny, rozumny i głowę nosił wysoko, gdyż wiedział, że to nadaje twarzy wyraz imponujący, a uważałby za hańbę spuścić przed kimkolwiek oczy. Zwykł był mawiać:

— Niemasz straszliwszego spojrzenia nad błyskawicę i straszliwszej mowy nad ryk morza, ale ja już i do nich przywykłem.

Znajomi, pierwsi znaczeniem w mieście ludzie, przyjaciele, zeszli się w dzień wesela Byssenji u jej ojca. Ją zaś kartagińskie dziewice powiodły do gaju Astarty, aby tam po raz ostatni w świętym ruczaju się wykąpała i zaprowadziły ją do ołtarza bogini, gdzie miała być narzeczonemu oddana.

Kiedy grono tych dziewic żądać poczęło odeń, aby, według fenickiego zwyczaju, wyrzeźbionym bo-

gom się pokłonił i aby prosił ich o błogosławieństwo, Bar Noemi, na podziw wszystkich, zawołał:

— Jehowa jest Bogiem! — i bogom się nie pokłonił.

Starcy i kapłani, przerażeni tym bluźnierczym okrzykiem, szeptać poczęli między sobą, co mają począć z tym zuchwałym cudzoziemcem.

Zaprowadzili go do amfiteatru Astarty, którą lud czcił w postaci białej, wyrzeźbionej z marmuru, niewiasty, i pokazali mu misterje, czci jej oddawane, słodkie tajniki miłości, wobec których rozum ludzki blednieje, podniecające obrazy zmysłowe, które pod różną nazwą, w każdym wieku, aż do naszych czasów, znajdowały bałwochwalców!

Bar Noemi odwrócił twarz od tej oślepiającej ułudy i zawołał:

— Jehowa Bóg!

Starcy i kapłani, opuściwszy głowy, wyszli i zaprowadzili Bar Noemiego do świątyni wielkiego, wspaniałego boga Dagona, ktory błyszczał od srebra i złota, który stał na okręcie perłowym, pokrytym drogiemi kamieniami i szlaczetnym metalem i, zamiast fal morskich, płynął w olbrzymiej cysternie, rtęcią napełnionej.

Tu rzekli Bar Noemiemu, jeżeli przed czarem miłości głowy nie schylił, aby schylił ją przed obrazem bogactwa, gdyż to Dagon daje pieniądz i władzę tym, którzy weń wierzą.

Ale Bar Noemi pogardliwie spojrzał na olbrzymie bogactwa, jakie widział wokół, i śmiało powtórzył:

— Jehowa Bóg!

Starcy i kapłani, gniewnie nań spoglądając, zaprowadzili go do świątyni Renafana, boga wojny, który stał na słupie miedzianym, a sam był wykuty z żelaza; pod nogami gromadą leżały miecze, tarcze i triumfalne bitew łupy, które wojownicy kartagińscy na wrogach swych zdobyli i rostra okrętów, które na morzu nieprzyjaciołom zabrali — i które u nóg Renafana składano.

— Spójrz! jeśliś nie kląkł przed miłością, przed bogactwem, klęknij przed tym bogiem, który daje sławę — największe szczęście prawdziwego męża.

Ale Bar Noemi, śmiało spojrzawszy w puste oczy bożka, zuchwale odparł:

— Jeden jest Bóg! Wszechmogący Jehowa!

Zaprowadzili go więc do podziemnej świątyni potężnego boga piekieł, Baala, ktory w wieczystym ogniu panuje i rozdaje kary i cierpienia na tym, oraz na tamtym świecie. Tu pokazano cudzoziemcowi nieforemnego bałwana o czerwonej niesytej piersi, która codziennie krwawą ludzką ofiarą karmić się musiała. Wkońcu pokazali mu i ofiarę samą. Silnego i rosłego mężczyznę wtrącono w paszczę bezlitosnego boga i z nozdrzy wybiegł dym ciemny, a ginąca ofiara w jego pustem wnętrzu tak wyła, jakby szatan wrzaski swe czynił, a tak powoli cichła, jak dziki zwierz, gdy głod zaspakaja i wreszcie się nasyca.

— Bar Noemi! — mówili starcy. — Przed tobą wrota śmierci, mów!

Młody cudzoziemiec, pełen odrazy, podniósł oczy ku niebu, które było tak czyste, jak wieczne Boga siedlisko, i, nieporuszony, mówił:

— Jeden jest Bóg, wszechmocny Bóg! Pan ziemi, Pan gwiazd niebieskich, Pan mórz, Pan życia i śmierci, Pan nad pany — nieśmiertelny Jehowa! A prochem i cieniem jest wszystko wobec niego!

Tymczasem bożek porwał drugą ofiarę, którą służbę czyniący kapłani rozćwiartowali i potworowi ją dali. Wycie umierającego złączyło do modlitwy ręce Noemiego. Sądził, że ostatnia jego nadchodzi godzina, że i jemu przyjdzie zginąć w paszczy Baala.

Starcy i kapłani znowu coś szeptali i z uśmiechniętem obliczem rzekli do Bar Noemiego:

— Oto zachowałeś do końca wiarę swoją, pozostań więc przy niej i nie bądź wobec niej przeklęty. Przysięgnij małżonce twej, według zwyczajów twoich, i weź ją ze sobą do twej dalekiej ziemi i żyj z nią, dopóki się twemu Bogu spodoba.

Uspokoił się na te słowa Bar Noemi i w ciszy serca swego błogosławił Jehowę, który daje zwycięstwo tym, co weń wierzą i silne serce tym, co go sławią.

Przysiągł więc Noemi Byssenji miłość i wiarę według zwyczajów swej ziemi. Ojcu narzeczonej dał mały gościniec, ten zaś mu ofiarował znowu jakieś ozdoby kobiece; zamiany te dokonawszy, ruszyli ku okrętom, a tłum ludu, zebranego w porcie, wśród radosnych okrzyków i wesołej muzyki, odprowadził ich nad brzeg morza.

Cztery okręty, gotowe do podróży, czekały na nowozaślubionych. Były tam trzy wspaniałe okręty kartagińskie, ozdobione pysznym haftem, po bokach, nazewnątrz miały wyrzeźbione ze złota różne dziwy,

ztyłu był most, zwodzony na wypadek bitwy z wrogami, a w pośrodku wysokie wzniesienie, skąd zazwyczaj rzucano kamienie i strzały.

Kiedy już wypłynęli żeglarze na pełne morze, kiedy już portu widać nie było, wtedy nagle okręty kartagińskie rzuciły mosty na okręt tyryjski i wszyscy stanęli.

Starcy jeszcze raz do Noemiego przemówili:

— Bar Noemi! Synu obcej ziemi! Pod tobą bezbrzeżne morze, nad tobą bezbrzeżne niebo. Powiedz teraz, jakiż Bóg w tej pustyni ci pomoże?

— Jehowa! — odrzekł Bar Noemi.

— Niechaj więc ci Jehowa pomoże!—rzekli starcy... i zerwali z okrętu Bar Noemiego żagle, połamali wiosła, zniszczyli ster i wszystko to, co do żeglugi jest konieczne.

Radzili narzeczonej, aby powróciła do ojca, do Kartaginy. Ale Byssenja, przytuliwszy się do piersi Bara, odrzekła, że lepiej zostanie tu, na morzu, wśród burz i wichrów z tym, któremu wierność przysięgła, i nie opuści go w niebezpieczeństwie.

— Niech ci Jehowa pomoże!—mówili starcy i oddalili się od okrętu Bar Noemiego, spuściwszy mosty, i pozostawili go wśród burzliwego morza, bez żagli, bez wiosła, bez steru, na pastwę huraganom i na łasce ślepego żywiołu.

III

„Do Ciebie wołam, dobrotliwy Panie!
Tyś mocną tarczą przeciw moim wrogom,
Tyś mą obroną w polu krwawej bitwy,

Tyś mi odżywczem źródłem jest w pustyni,
Tyś mą ucieczką wśród orkanów wrzawy
Nie opuszczaj mnie!"

Nie opuszczaj, o Panie, tego, który twą chwałę głosi i który w niebo spogląda, i który woła do Ciebie: — „Bądź ze mną i pomagaj mi!.."

...Wśród cichego, bezwietrznego morza stał opuszczony okręt, pozbawiony żagli i rudla, a zdala na horyzoncie, gdzie niebo z ziemią się całuje, nie widać było ani czarnego punktu, ani białego żagla, któryby ślad jakiejkolwiek ziemi pokazywał.

Wśród tej próżni stał Bar Noemi i jego, na zagładę skazana, załoga.

Bar Noemi jednak wierzył, że nad tą próżnią jest Pan, który niebu i ziemi rozkazuje.

I oto, gdy, złożywszy ręce, modlił się, przyleciał od wschodu ranny w skrzydło gołąbek i usiadł na najwyższym maszcie okrętu.

Nigdy jeszcze nie widziano takiego gołębia: całe jego upierzenie było zielone, z odcieniem perłowym; ogon złoty i gwiaździsty, jak u pawia, a naokoło szyi purpurowy kołnierz.

Bar Noemi podał mu garść ryżu na dłoni; gołąb zbiegł z masztu, siadł żeglarzowi na ręce i zbierał po jednem ziarnku, gruchając nad każdem, jak to zwykle czynią dzikie gołębie. Poczem znów na maszt powrócił i tam do wieczora pozostał.

Załoga, patrząc na to, krzyczała z podziwu, a Bar Noemi mówił:

— Widzicie, oto Jehowa głos mój usłyszał i przysłał mi swego posła, rozkazując mu, aby nam drogę

wskazywał. Gdyż wiem, że On to od nieszczęścia nas uratuje. Weźmy nasze płaszcze i wszystko, co na okręcie jest zbyteczne, odzież kobiecą, suknie, tkane złotem, frygijskie purpurowe płótna i zróbmy z tego żagiel. Niedługo powieje wiatr zachodni, który przybliży nas do brzegu, gdzie odnowimy nasz okręt i powrócimy do Tyru, do którego drogę znam dobrze.

Marynarze, słowa nie mówiąc, przygotowali żagiel, śmiało łatając go ze zniszczonych skarbów, i rozpięli go, jak się dało, wiążąc sznurkami, i oto stanęło słońce, lśniąc swem odbiciem, które w morzu, kołysanem wiatrami, poruszać się zdawało w każdej krezie fal morskich. Okręt był gotowy, złatany żagiel szumiał, a nawa silnie stała wśród fali i szybko pruć poczęła zwierciadło morza.

Załoga na kolanach modliła się:

— Jeden Jest Bóg, Bóg Jehowa!

Całą noc wiał przyjazny wiatr. Bar Noemi całą noc patrzył na gwiazdy. Gwiazda strażnicza i gwiazda krwawa nad głową jego tworzyły łuk wspaniały; Punkt Diamentowy i Smocze Oko stały wysoko na niebie; okręt spokojnie płynął ku zachodowi.

Trzy dni i trzy noce sunął okręt po morzu, bez steru z jednym tylko żaglem. Na trzecią noc wyłoniły się z głębin morskiego potworu ciemne góry Atlasu, graniczące z nieznanym światem, oddzielające tajemniczy ocean od morza Śródziemnego niezdobytemi słupami Herkulesa, które dziś zowiemy Gibraltarem.

Znany punkt był przed oczami żeglarzy. Za tym punktem żyli szczęśliwi mieszkańcy Hesperyjskich

ogrodów o złotych jabłkach, porywali oni tych, co płynęli u ich brzegów, tak, że dziewicom z pod gór Atlasu niebezpieczniej było patrzeć w tą stronę, niżli słuchać śpiewu Syren lub żeglować u przeklętych koralowych wysp Scylji. Ostatni port afrykański bardziej przerażał żeglarza, niżli szatan piekieł i śmierć —dwa zabójcze anioły ówczesne.

Zeglarze Bar Noemiego z radością weszli na maszty, aby lepiej ujrzeć szczęśliwą obiecaną ziemię, która co chwila była bliższą. Już barwić się poczęły brzegi, już na sinych górach widać było ciemną zieleń lasów, już jaśniały łąki, pokryte wysoką trawą i otoczone szkarłatem gajów migdałowych, a storczyki ogniste i błękitne bujały się na długich gałęziach; już widać było dym chat gościnnych—gdy nagle w południowej stronie nieba pokazał się czarny obłok i w chwilę potem zaciemnił słońce i całe morze kolor zmieniło.

Jakąś ponurą, ciemnozieloną barwą igrały fale, góry Atlasu zszarzały, brzegi wciąż we mgle się rozpływały, wciąż znikały i nagle, jakby z chmur, na niebiosach wybiegłe, całe powietrze napełniły białe ptaki o czarnych skrzydłach, ptaki, których żywiołem jest burza, które huraganem oddychają i w nieznanych przestrzeniach morskich wyprzedzają okręty, ku przerażeniu żeglarzy, złowróżbną przepowiednią zguby i nieraz z przeraźliwym świergotem oblatują okręt naokoło, niby śpiewając pieśń pogrzebową.

Bar Noemi zwinął jedyny żagiel, pocałował piękną żonę, a później każdego z żeglarzy, którym nic nie pozostało, jak paść na kolana przed cudotwór-

czym Bogiem i gromką pieśnią zagłuszyć ryk fal morskich:

„W Tobie, o Panie! jest nadzieja nasza!"

Ryk fal morskich, wycie wichru stało się silniejsze; pieśń opuszczonych osłabła; zahuczał piorun, głusząc całą wrzawę żywiołów i przebiegając morze z końca w koniec, noc bezpromienna czarnością pokryła niebiosa i morze, tylko błyskawice, jak pochodnie, na okamgnienie rozjaśniały przestrzenie.

Na dalekim widnokręgu za każdą błyskawicą wyłaniała się z morza czarna wstęga gór Atlasu, niby potwór we śnie ujrzany—a tu po spienionych grzbietach bałwanów morskich mknie słaba łupina orzechowa—mała łódka drewniana, z którą wicher igrać się zdaje, a w której dwustu siedzi z tego nędznego tłumu robaków, co się zowią panami natury.

Szum wichru rośnie a rośnie.

Po ciemnym dniu ciemniejsza jeszcze noc nadchodzi. Załoga coraz bliższą się czuła gór Atlasu i ściskała Bar Noemiego. Jeszcze chwila a wszyscy będą u brzegu.

Ustały błyskawice i nastąpiły godziny mroku zupełnego. Wicher rzucał okrętem, chwile śmiertelnej trwogi przepływały, jak wieczność, a gdy po długim czasie znów firmament przecięła wstęga ognista, nieszczęśliwi żeglarze nie ujrzeli już gór Atlasu. Wypłynęli już na morze Atlantyckie.

— Jeden jest Bóg, Jehowa Bóg!

Trwoga śmierci przypomniała im Pana, ale w nieskończonej wrzawie skłóconych żywiołów nowe niebezpieczeństwa oszołomiły ich zupełnie.

Noc minęła, ale niebo dalej pokryte było ciemnemi chmurami, rzekłbyś armja wojująca, a słońca poza niemi widać wcale nie było i horyzont cały był mgłą bezgraniczną pokryty. Tak bezustannie cztery dni płynęli.

Wicher się nie męczy...

Okręt był zniszczony. Maszty były połamane; rzeźbione smoki, które w promieniach słońca lśniły, jak słońce, pożarła głębia; wszelki ciężar zbyteczny rzucali w morze, aby tylko ocalić statek od zatopienia.

Gdy czwarty dzień w klęskach i burzy chylił się ku nocy, przystąpił do Bar Noemiego najstarszy żeglarz i, tajemniczo go przywoławszy, zapytał:

— Czy ty się codziennie modlisz do Jehowy, Bar Noemi?

— Każdej godziny, każdą myślą moją!

— Na tyle okrętu jest twoja arka przymierza, przed którą zwykle się modlisz? Co tam jest? Czy tam mieszka Jehowa?

— Tam są Jego przykazania, według tablic jerozolimskich spisane.

— Ty więc modlisz się do Jehowy. Ale twoi żeglarze na przodzie okrętu modlą się do Thammusa, złotego węża, którego sami sobie zrobili. Tak więc dwa są bogi na naszym okręcie i oba walczą o nas; jeden chce nas zgubić, drugi uratować, a kto nam dowiedzie, który z nich potężniejszy. Zginiemy przez to. Bo jeden pewno jest Bóg, jak ty Go zowiesz Jehowa, który dobrotliwie dawał nam dni słoneczne, ale, przez gniew za ich grzechy, nie pozwala burzy

przeminąć! Dlatego też uważaj, co masz począć. Co noc, kiedy pod pokładem daje się słyszeć płacz i błaganie, wiedz, że się modlą do bałwana. Albo więc twoją arkę przymierza, albo złotego węża rzuć do wody, aby jeden Bóg był z nami.

Bar Noemi wielce zasmucił się temi słowy i uczynił tak, jak mu stary żeglarz mówił. Kiedy nocą usłyszał modły pod pokładem, zeszedł na przód okrętu, znalazł tam żeglarzy, którzy, schyleni ku ziemi, bili się w piersi i ostremi nożami kłuli swe ciało. Pośród nich zaś był wąż złoty, owinięty na słupie, a jego oczy karbunkułowe błyszczały w ciemnościach.

Bar Noemi przystąpił do bałwana i mieczem odciął mu głowę, a później, uderzywszy go kilka razy, rozbił na drobne kawałki.

— Spójrzcie—mówił Bar Noemi—czyż nie skłamał wam ten mag, który wam powiedział, że to jest Bóg. Czyż nie skłamał wam ten złotnik, który wam powiedział, że to złoto. Kłamstwem jest to wszystko. Łatwo pojmiecie, że ten, który to zrobił, nie widział Boga, jak nie widział złota.

Niespodzianie ujęci żeglarze nie przemówili ani słowa. Materjalne oszustwo najsilniej ich upewniło o niemocy ich bóstwa. Ucałowali suknię Bar Noemiego, zebrali czerepy bożka i rzucili je w morze.

IV

Kiedy bożek zginął w falach, nagle, jak płaczące dziecko, które wśród łez usnęło, wszystko się uciszyło. Wycie wiatru zamilkło, błyskawice ustały,

czarne chmury śpieszyły się ukryć za horyzontem, rozszalałe morze spokojnie kołysać się poczęło, zwierciadło stało się gładkie i wnet najuroczystsza cisza na niebie i ziemi zapanowała.

— Dzień cudów!—wołali żeglarze.

A gdy gwiazdy pokryły sklepienia błękitów, nowe podziwienie ogarnęło serca rozbitków. To niebo gwiaździste nie było tem, które znali. Inne to gwiazdy, inne konstelacje. Siedmiogwiezdnego wozu nigdzie nie widać, nie widać nigdzie wiecznie nieruchomej gwiazdy polarnej. Przewodniczka żeglarzy, podwójne oko nieba i tyle innych świateł niebieskich, które każdy żeglarz nazywa tak poetycznie, których wschód i zachód zna tak dobrze, gdzież są?—niema ich tutaj. Wszystkie w morze się zapadły. Zamiast nich, inne się pokazały, ale nikt ich nazwać nie umiał. A wokół nich tak było jasno, że okręt cień rzucał, niby we dnie.

Załoga z bijącem sercem spoglądała na to nieznane niebo, w którem nie znalazła dawnego swego świata i ze strachem pytała Bar Noemiego:

— Panie, panie, gdzie jesteśmy?

Bar Noemi, tając swą własną trwogę wobec innego nieba, odrzekł z westchnieniem:

— Jesteśmy w ręku Boga!

— Jesteśmy na krańcach świata! — zawołał głos buntowniczy. — W nicość płyniemy!

Inny mówił, że zbliżają się do państwa Rok-Rok, ojczyzny wężów i jaszczurek, gdzie na ludzi polują tak, jak u nas ludzie polują na gady.

Trzeci przypomniał baśń o Indyjskich górach

magnesowych, które zoddala przyciągają do siebie okręty, a wszyscy byli przestraszeni widokiem tych miejsc nieznanych, o których nawet baśnie nie wspominały.

Ludzie szeptali coś pomiędzy sobą, a najmężniejsi przystąpili do Bar Noemiego z zagniewanem obliczem:

— Posłuchaj, Bar Noemi, co mówimy do ciebie. Modliłeś się dotychczas do Jehowy i sprowadziłeś przez to wiele nieszczęść na siebie i na tych, którzy są z tobą. Pchnąłeś nas na morze, sprowadziłeś burzę i klęski. Złamałeś Thammusa i modliłeś się do Jehowy. Teraz oto jesteśmy wśród nieznanego morza, nie wiedząc gdzie jesteśmy i dokąd jedziemy. Tyś jest tego przyczyną i ta arka przymierza, którą wieziesz ze sobą, i imię Jehowy, do którego się modlisz. Póki był Thammus, była burza, gdyś go zniszczył, stała się cisza. Ale ta cisza jest dla nas większą klęską, niż burza. Pierwej płynęliśmy wciąż dalej, a teraz stoimy na miejscu, przeklęci, jakby dwie kotwice uwięziły nasz okręt. Postanowiła więc załoga ciebie i twoją arkę do morza strącić. Jedź, dokąd zechcesz. Nie gniewamy się na ciebie, ale boimy się ciebie. Przygotujemy ci tratwę, damy ci ster, powrócimy ci twój żagiel. Damy ci chleba i wody... i jedź z imieniem Jehowy, dokąd ci się spodoba; my też pojedziemy, dokąd nas popchną złe lub dobre czarty.

Bar Noemi nie mówił ani słowa. Lud ten chciał jego zguby: trzykrotnie zdradził jego wiarę. Ale lud ten sam był na zgubę skazany. Morze go pochłonie,

jak lud Abiramu pochłonęła ziemia. Kiedy Sodoma miała zginąć od ciężaru swych grzechów, Pan ją chciał ratować, jeżeli jednego w niej znajdzie prawego człowieka. Ala teraz anioł Boga był obecny.

Byssenja, która dotychczas w milczeniu końca mowy czekała, sądząc, że marynarze namiętność swą zaspokoją groźbami, gdy jednak ujrzała, że ci już tratwę dla Bara gotują, objęła smutnego męża i, tak szepcząc, pocieszała go:

— Bądź spokojny, Noemi. To nie koniec świata. Zdobyłam w Kartaginie tajemnicę pewną, której tam głośno wypowiadać nie wolno, ale która tam z ojca na syna przechodzi i każdy ją w ciszy serca radośnie wspomina. Mężny Hannon, niegdyś burzą pchnięty, dostał się w te kraje. Całą podróż swą opisał na marmurowych tablicach, które dziś są pod zamkiem w świątyni boga-śmierci. Kto tę tajemnicę rozgłasza, umiera. Ja wiem ją od mojego ojca, który w tej świątyni siedzi na radzie z mędrcami i kupcami. Tam, gdzie zachodzi ta najświetniejsza gwiasta, jest nowa część świata, większa i piękniejsza stokroć, niż nasza. Znajdziemy ją, gdy zrozumiemy te gwiazdy. Dwie potężne siły są z nami, które nam pomogą: z tobą — Jehowa, ze mną — miłość.

Bar Noemi objął ją i ucałował, dziękując Bogu, że mu anioła zesłał, który go od niebezpieczeństwa uratował, i sam począł żeglarzom pomagać w robocie statku, na którym, w przymierzu z Panem i w miłości lubej, miał się puścić na nieskończone morze.

Kiedy już tratwa była gotowa, za jedyny maszt służyła mu tyka, a za żagiel rozdarty płaszcz, zszyty

z weselną suknią niewieścią. Kropla wody rzecznej, wodą morską przesiąkły koszyk pszenicy — oto, co od swojej załogi otrzymał Bar Noemi.

Z niezliczonych skarbów, trzy tylko wziął ze sobą: erkę przymierza z zakonem bożym, wierną, kochaną Byssenję i miecz swój miły, stalowy.

Kiedy Bar Naemi na łódź wstąpił, krzyknięto za nim: — „Jehowa z tobą!" — On zaś smutnie opuszczał okręt, z którego schodził, jako ostatni człowiek sprawiedliwy i coraz bardziej oddalał się odeń, i coraz bardziej samotniał w tych przestrzeniach.

Nagle ujrzał, jak okręt chwiać się poczyna i kołysze się coraz bardziej i fale na jego pokład wpadają i wreszcie w wodzie się pogrąża. Wiatr zachodni pozwolił Bar Noemiemu usłyszeć ostatni krzyk przerażenia załogi, ginącej w morzu.

Teraz on i Byssenja byli sami tylko na nieznanych wodach. Ale niedługo byli sami. Brzmi śpiew ptaka na wysokościach i oto z błękitów spada cudnie zabarwiony gołąb, ten sam, który u brzegów Afryki okręt odwiedził, i ufnie siada spocząć na wierzchołku maleńkiego masztu.

I on był wichrem zagnany. Złotozielone jego pióra oblane były wodą, a czerwony dzióbek otwierał się, smutnie turkając. Kiedy znajomych poznał, siadł Bar Noemiemu na ręce, później Byssenji na ramieniu, a gdy oni mu dawali pszenicy, nie jadł, ale uderzał w nią dzióbkiem, wreszcie w powietrze uleciał.

— Idę za tobą, boski posłańczel — mówił Bar Noemi, pełen ufności i, złożywszy żagiel ku wiatrowi,

skierował łódź w tę stronę, dokąd gołąb pofrunął.

Przewodnik niebieski nigdy nie znikał z oczów. Kiedy łódka nie mogła zdążyć za jego lotem, gołąb oglądał się i czekał. Na noc siadł znowu na wierzchołku masztu, a wczesnym rankiem leciał przed nimi w niezmiennym kierunku.

Trzy dni i trzy noce żeglarz płynął za gołębiem. Czwartego dnia o świcie wesoło siadł gołąb na łonie Byssenji, wziął z jej ręki trochę pszenicy, wzleciał i więcej widać go nie było, jeszcze raz się pokazał na krańcu widnokręgu i zniknął.

Na czwartą noc samotny już podróżował żeglarz z oblubienicą; słaba kobieta, złożywszy głowę na łonie męża, niby na łożu wygodnem, zasnęła na morzu bezbrzeżnem.

Ale Bar Noemi usnąć nie mógł. W sercu żeglarza bić poczęły jakieś niepojęte przeczucia, jakieś tajemnicze a potężne myśli, których pochodzenia wyjaśnić sobie nie umiał. Czyżby miał ujrzeć te zielone krainy szczęścia, o których marzą wszyscy ludzie w smutnych krajach północy? Czyż miał zawołać w niezgłębionej radości: — Oto jest! Oto jest! Oto mój cel!

Zorza ozłaca swemi promieniami niebiosa i mórz powierzchnię i oto, z pośród tych złotych promieni niebios i morza, wyłaniają się błękitne gór wierzchołki na firmamencie, a wschodzące słońce purpurowemi barwy je maluje.

— Jeden jest Pan! jeden jest Bóg! — zawołał Bar Noemi, podnosząc ku niebu dziękczynne dłonie, a Byssenja z nim razem klękła przed arką przy-

mierza i oboje, ścisnąwszy się gorąco, wylewali łzy rzewnej radości.

Nowy świat! Nie! To świat stary, który wtedy kończył swą dziejową drogę, kiedy twój, znany ci świat, zaczynał ją dopiero.

Tysiąclecia minęły. Któż wie, ile przez ten czas przesunęło się po tym świecie mieszkańców?

Te szkielety, które znaleziono na brzegach rzek, które znaleziono na dnie jaskiń, nigdy nie były nazwane, żadna twarz europejska nie oglądała nigdy tych pozostałości. Te gruzy olbrzymów królestwa roślinnego, które, zwęglone od wieków, lasami spoczywają jedne na drugich, zdają się mówić o większym umarłym świecie. Te gigantyczne ruiny miast, o architekturze przedziwnej, jak na ziemi Inkasów, które pozostały nieznane awanturniczym podróżnikom, czyż nie wskazują na istnienie zaginionego ludu, który w blasku i wielkości wystarczał sam sobie, który swemi walkami połowę świata zdobył i był panem tych ziem naokoło i nieznaną sztuką rzeźbił oblicze Boga, póki grzechy tego ludu nie skazały go na zagładę, a ostatni śpiew ich był jękiem półbogów, ginących w uściskach zdziczałej i rozbujałej roślinności i w konwulsjach, wstrząsanej ogniem wewnętrznym, ziemi.

Filozof Platon wspominał niegdyś o Szczęśliwych wyspach. Może to obraz poetyczny, może wytwór podniosłej duszy mędrca, który wszędzie szukał. Ale z owych tysiącleci pozostały ślady, których morze nie śmiało zatopić, las obrosnąć, burza zniweczyć. I powzięliśmy pewność, że w dawnych, dawnych wiekach byli ludzie, którzy dosięgli najwyższej doskonałości

i zginęli, gdy, stanąwszy na szczycie pychy, osądzili, że wolno im głowę nosić tak wysoko, jak Bogu.

Cudne obrazy tego świata zaginionego unoszą się przed mą duszą, niby senne, czarowne widziadła!...

V

O wspaniała naturo! Niezrównana wieszczko, niedościgniona sztukmistrzyni, która jesteś wielką w kołysaniu listków i łagodną w obłokach błękitów — ty czynisz tak, jak poeta, jak artysta, jak mędrzec; próbujesz, badasz, doświadczasz i poprawiasz to, co ci się zdaje źle wykonanem, bezcelowem i nieodpowiedniem. W myśli swojej ulepszasz twe dzieła, złe usuwasz, nowe wprowadzasz, a gdy cały układ jest w chaosie, ścierasz, jak rzeźbiarz, swój model woskowy, rozdzierasz, jak poeta, zapisaną kartę i tworzysz szereg nowych ciał na ich miejsce.

Tylko, że ty swej siły wieszczej próbujesz na całych częściach świata, a tysiąclecia wykonywują twe zamiary.

Kiedyś wyczarowała z ciepłej ziemi te potężne przedpotopowe zwierzęta, byłaś dziecięciem jeszcze, byłaś młodym, z myślami walczącym, duchem, którego radość wzrasta wobec ogromu i wspaniałości. Tyś lubiła patrzeć na te zwierzęta, które ślady ciężkich nóg swoich pozostawiły na kamiennych skałach i których wycie grzmiało od jednego łańcucha gór do drugiego.

Spoglądałaś radośnie, gdy poruszał się olbrzymi plesiosaurus, od wielbłądziej szyi do jaszczurczego ogona perłową łuską przykryty, i gdy bawół pierwot-

ny, podwójnym rogiem, niby słomkę, łamał najpiękniejsze palmy.

Jednak żal ci się zrobiło pięknych lasów palmowych i stworzyłaś olbrzymie potwory mięsożerne, których kły najgrubszą skórę przebijały i, pożerając niszczycieli roślin, broniły królestwa flory.

Ale wszystko to było igraszką. Po tysiącach lat, znudziłaś się tym wiecznie jednostajnym światem, który nie umiał myślą cię uwielbiać, ani spojrzeć na niebo nie potrafił.

Wtedy w duszy twej powstała piękniejsza i wspanialsza istota od wszystkiego, co było na ziemi, istota, stojąca prosto, spoglądająca wgórę—człowiek, którego tak pokochałaś, żeś Boga uprosiła, aby mu duszy udzielił Swojej.

Młoda istota dumnie podniosła głowę, przemówiła, aby myśli swe wyrazić, i rękami zaczęła nad natura sztuki wykonywać i takie wytwarzać postacie, o jakich tyś nie pomyślała nawet.

Radowałaś się wtedy, o twórcza naturo, że ten twój ulubieniec czyni zabiegi, pracuje, buduje, tworzy i ziemie twe obrabia. A serce jego ogrzewała myśl, że on jest panem tej ziemi i dlatego budował i wzmacniał, i urządzał się tak, jakby mu świat ten był drogi.

Ale radość twa zachmurzyła się, kiedy ta najpiękniejsza istota świata zwyciężyła w sobie twą niebieską moc duchową i stała się niewolnikiem, kiedy stała się sługą swych namiętności, kiedy, pijana, ścigać poczęła rozkosz, kiedy wysoko niesioną głowę chyliła przed bezkształtnemi bałwanami, radując się nadmiarem skarbów, które ty jej dałaś. Jakżeś długo

i ciężko smuciła się nad nim! Jakeś ziemią wstrząsała, aby go z tego szału przebudzić! Posyłałaś mu okropne klęski; groźna twoja fantazja tworzyła straszne rodzaje śmierci, aby śmiertelny do Boga powrócił. Rzucałaś nań deszcze kamienne, wodą zalewałaś jego domy murowane, aby cierpienie i nędza opanowały jego duszę zbłąkaną.

Ale było to próżnem; nie poprawili się wcale. Natura zachorowała, że jej mili cierpieli. A choroba natury przeszła na trawy i na drzewa, i na użyteczne zwierzęta.

Życiodawcze drzewa padły na rodzicielkę swą ziemię, bogata flora nigdy już z tej choroby nie wyszła i trucizna wyrosła, gdzie pierwej kwitło zboże, śniedź pokryła pszenicę, zamiast słodkich owoców, śmiercionośne grzyby obsiadły drzew pokrycia. Przerażająca śmiertelność ogarnęła zgłodniałe pszczoły ziemi; z ziemi wypłynęła jadowita, wodą zatruta, para, z jej głębi buchnęła w twarz człowieka i w dniach szału, w bezrozumnem weselu i pijaństwie, zginął pod ciężarem klęsk twoich.

A jednak wtedy nawet nie pomyślał o tem: jaka praca odbywa się pod nami? kto mieszka nad naszemi głowy?

VI

Na brzegu, gdziekolwiek spojrzysz, kwitnie las, tak przecudny, że tylko czarodziejska fantazja odtworzyćby go potrafiła. Szerokie konary drzew, których gałęzie znów wrastają w ziemię, tworzyć się zdają kolumnady świątyń, otoczone gęstą, ciemną roślinnością,

co zdobi nowe korzenie, wrosłych w ziemię, gałęzi, uśmiechniętemi oczkami błękitnych i czerwonych, spoglądających wokoło, kwiatków. W zagajnikach o srebrnych liściach, wśród gałęzi, pokrytych różowemi kwiatami, mieszczą się ciche gniazda, a gęsta trzcina tak wysoko podnosi kłosy, że, gdyby ludzka istota przechodziła tędy, nie byłoby widać jej głowy.

W cieniu olbrzymich bananów kryją się szeregi palm cienistych z ciężkiemi owocami, z których więcej rozkoszy miał Stwórca, niż z jakiegokolwiek innego tworu natury, gdyż palmy te pod ich ciężarem wysoko głowy unoszą i, gdyby nawet koroną się zdobiły, umiałyby ją trzymać z godnością.

Na jednem z drzew palmowych był człowiek, który się zabawiał strącaniem wielkich kokosowych orzechów i rzucaniem ich na ziemię. Niedaleko od niego, u stóp drzew, między trawą, niby skała bezkształtna, leżało olbrzymie megatherion, którego cztery ogromne, leniwe łapy cały pagórek pokrywały.

Nagle potwór ten się podniósł, kręcąc nieforemną głową, spoglądając małemi oczami i strzygąc małem uchem. Całe wielkie jego ciało pokrywała goła, chropowata skóra, pomarszczona ze wszech stron, a w kątach zmarszczek spokojnie przesiadywały ślimaki morskie, które w ciepłych dniach, w czasie kąpieli, nań powłaziły. Tylko w nozdrzach, w uszach i na krótkim ogonie była twarda, choć bardzo rzadka, szczecina.

Przybywszy na brzeg, żeglarz tyryjski wbród przeniósł żonę swoją i arkę na ląd, a gdy uczuł się na ziemi, padł na kolana przed Panem, który cuda czy-

ni ze śmiertelnymi i, całując ziemię, tęsknoty pełnym głosem zaśpiewał psalm dziękczynny:

„W Tobie, o Paniel moja ufność leży,
Boś Ty był i Tyś jest prawdziwym Bogiem
I będziesz Bogiem prawdziwym na wiekl!"

Na ten dźwięk podniósł bezkształtną głowę, ukryty w trawie, potwór i, leniwie ruszając grzbietem, zagrzmiał okropnem wyciem, które było raczej podobne do ryku ranionej bestji, niż do przerażającego grzmotu.

Bar Noemi wyjął szablę i serce w nim zadrżało, kiedy ujrzał tę okropną głowę, podnoszącą się wpośród trzciny; ale wnet opuścił miecz i uścisnął czule Byssenję, która bojaźliwie złożyła głowę na jego piersi, i uspakajał ją, mówiąc:

— Nie lękaj się! Zwierz ten ma zęby czarne i tępe, to jest stworzenie roślinożerne. Człowieka nie napada. W Mizraimie (w Egipcie), w wielkich jeziorach, widziałem podobne potwory, które tam zowią behemotami. Tylko nie są tak ogromne.

Człowiek, będący na drzewie, usłyszał głos przybyszów; rzuciwszy parę orzechów kokosowych na grzbiet megatherion, zeszedł z palmy i ruszył ku nim.

Megatherion, zadowolone, że tak wiele łupów przed niem leży, szybko poczęło czarnemi zębami łamać twarde orzechy, niby ziarna pszeniczne.

Człowiek jeszcze parę orzechów rzucił potworowi — który, rozdziawiwszy mordę, chwytał je w locie, jak to robią czajki, kiedy matka je karmi — a potem począł ku Bar Noemiemu się zbliżać.

Była to postać godna pożałowania. Ani jednego włosa nie miał na czaszce, ani na brodzie; twarz miała jakiś chorobliwy odcień carnej barwy, rysy były chude, kolana chwiejne, klatka piersiowa wklęsła, plecy zgarbione. Był gorący dzień wiosenny, a on w bramowanej odzieży zdawał się marznąć.

Podziw Bar Noemiego urósł, gdy obcy, na drugim końcu ziemi, odezwał się doń łamaną, ale zrozumiałą mową kartagińską:

— Czy wy z Kartaginy jesteście?

Bar Noemi z rozkoszą słuchał w tej oddalonej części świata dźwięków rodzinnej mowy.

— Jesteśmy z Kartaginy — odrzekł. — Okręt nasz rozbił się na drodze. Ale ty skąd jesteś i kto jesteś, że naszą mowę znasz tak dobrze?

Obcy człowiek, drżący z zimna przy czterdziestostopniowem cieple, zawinął się mocniej w bawełniany płaszcz, na którym wyhaftowane były złote i srebrne kwiaty, i jeszcze bliżej przystąpił do przybyszów. Zdaleka trudno mu było mówić, gdyż głos jego był zbyt słaby, aby mógł czynić to bez męczącego wysiłku.

— Jeżeli z Kartaginy przybywacie, toście pewno słyszeli o tablicach Hannona, na których opisaną jest ta ziemia; bo, chociaż pod karą śmierci zakazano o tem wspominać, to jednak pewno wszyscy kartagińczycy o tem wiedzą. Tysiące ludzi już przypływało z brzegów Afryki na Szczęśliwą wyspę, jak Hannon nazwał tę ziemię.

— Ach, więc jestem na Szczęśliwej wyspie?! —

zawołał Bar Noemi, któremu znane było wyrażenie żeglarzy.

— Nie wyspa to, lecz cała część świata, dziesięćkroć większa od tej, którą ty znasz tam, za morzami. Mieszkańcy jednego krańca nie znają mieszkańców drugiego; najśmielsi podróżnicy nie doszli do granic części tej ziemi, chociaż wciąż głębiej i głębiej wchodzili, coraz nowe ziemie, nowe gór pasma napotykali, nowe ludy wreszcie, których liczba stokroć jest większa, niż cała Roma i Grecja, razem wzięte, jak je opisali ci, co tam byli. Wyspa Szczęśliwa nie ma granic: to nieskończoność!

— A naprawdęż zasługuje ta ziemia, by ją nazywać szczęśliwą?

— Upadnij w proch i ucałuj jej piersi. Ten kraj jest ziemskim rajem: sam rodzi wszystko to, nad czem gdzie indziej trzeba pracować. Jedno drzewo niesie wełnę, bielszą, niż owcza; drugie w kwiatach swych miód ukrywa, trzecie daje mleko, inne zaś masło, tłustsze, niż mleko i masło bawolicy; z innych możesz zrywać gotowe a pożywne owoce, z których jedne są, jak chleb, drugie, jak wino, a każde ma sok jakiś, który szał w duszy twej wywołuje; nad ziemią ulatujesz, gdy się uśpisz areką; czujesz miłość tysiąca kobiet, gdy się upoisz żywicą balatów; dwa serca biją w tobie, gdy łykasz ognisty płyn ziarn kawy. Wkońcu pozwól sobie powiedzieć, że dzieciństwem jest wszelka rozkosz ludzka wobec moszczu winnego, który z trzciny cukrowej wypływa. Tysiąc jest tu rodzajów rozkoszy, o jakiej nigdzie pojęcia nie mają: szkoda, że dłużej żyć nie można.

Szkoda, że życie jest tak krótkie. O! gdyby starość nie nadchodziła tak wcześnie. Ja mam dopiero lat trzydzieści.

Bar Noemiemu serce się ścisnęło. W trzydziestym roku taka starość! Rzeczywiście człowiek ten wyglądał na lat blisko siedemdziesiąt. Był wybladły, złamany, drżący, a nie miał tych imponujących i nakazujących cześć oznak starości, jakiemi są siwe włosy i siwa broda. Nie miał ani jednego włoska na głowie, ani jednego włoska na brodzie.

Po tak długiej rozmowie, mieszkańcowi wyspy Szczęśliwej zimno się zrobiło, tak, że drżeć począł i w gardle mu zaschło. Miał u boku na pasie przywieszony kubek z kości słoniowej, ze złotą pokrywą, a w nim jakiś sok upajający i podał go żeglarzowi.

Ale Bar Noemi nie przyjął.

— Piję tylko ze źródła — powiedział.

Mieszkaniec nowej części świata śmiać się począł. Upajający płyn wnet wywołał czerwone plamy na jego policzkach i czole, które zdawały się płonąć. Oczy lśniły dziwnym blaskiem, w którym malowało się ogłupienie.

Z zuchwałym uśmiechem zbliżył się do Byssenji i rzekł do niej w obecności męża:

— Piękna pani, nie zostawaj z tym, który pije wodę. Ja cię upoję rozkoszami, pójdź ze mną. Ja jestem piękny, godny miłości młodzieniec. Na ustach moich miód, w sercu mojem ogień. Porzuć tego żebraka, jam jest pan bogaty. Za każdy twój złoty włos dam ci złoty pierścień; za dwoje twych oczu błękitnych, dam ci dwa karbunkuły. W pałacu cię pomie-

szczę, którego szczyt w niebo strzela i którego złote kopuły o słońce się opierają. A męża twego nie lękaj się. Jam jest silny, niezwyciężony rycerz, który jedną ręką zegnie go ku ziemi.

To mówiąc, zachwiał się człowiek, nogi mu drżały, ręce chciały coś pochwycić, lecz bez oparcia upadł na ziemię.

Bar Noemi ze wstrętem odwrócił się od niego. Ucałował żonę i usunął się nabok.

A tymczasem magatherion głowę podniosło i zawyło. Było głodne.

To wycie otrzeźwiło pijanego. Chwiejnym krokiem pośpieszył ku potworowi, który, zdaleka go widząc, paszczę rozdziawił i czarne zęby pokazał, czekając na orzechy kokosowe, które mu obcy człowiek, zebrawszy z ziemi, do gardła rzucał.

Byssenja chciała uciec z tego okropnego miejsca, ale Bar Noemi ją uspokoił i wstrzymał, mówiąc, aby czekali końca widowiska. Człowiek ten wstrętny jest, gdy pijany, ale nie straszny. Dobrze z nim pomówić, gdy trzeźwy.

W ciężkiej pracy karmienia zwierzęcia znikło z głowy człowieka tego szaleństwo, a gdy wreszcie straszydło, głód zaspokoiwszy, legło na ziemi i usnęło, był zupełnie trzeźwy, tak samo blady i osłabiony, jak przedtem.

Zakończywszy pracę, zbliżył się do naszych znajomych i słabym głosem prosił Bar Noemiego, aby mu rękę podał, a on poprowadzi ich do miasta, gdzie jest jego mieszkanie i gdzie chciałby go, wraz z żoną, przyjąć w gościnę.

Bar Noemi, dziękując bardzo, podał mu rękę, ale nie wytrzymał, by nie zapytać:

— Cóż to za zwierz potworny, którego karmisz i którym się tak opiekujesz?

Młody starzec spojrzał nań, zdziwiony.

— Cudzoziemcze, uważaj na usta swoje, kiedy mówisz. Czy to nie bóg?

Bar Noemi oburzył się:

— Jakto? Ten potwór wyjący, o okropnych kopytach, o chropowatej skórze, o niezdarnej postaci, jest twoim bogiem?

— Tak jest — odrzekł tamten głosem, pełnym bojaźni i tęsknoty. — Każde miasto ma boga, którego lud wybiera i któremu służy. Dziś ja, jutro inny i każdego dnia roku jeden z mieszkańców jest kapłanem. Kiedy nasi ojcowie przybyli tutaj, na tysiąc lat przed nami, nadziemskie istoty były panami ziemi i można było je pozyskać sobie tylko błogosławieństwem, bojaźnią, modlitwą. Od nich to idzie wszelkie dobro, wszelki owoc i to zwierzę, które jest bogiem. A te duchy nadziemskie są panami ziemi i nie umierają nigdy.

Bar Noemi zasmucił się.

— O! lepiej, gdybym był na wzburzonem morzu, na bezsternej łódce, niż na tej ziemi przeklętej!

I tęsknie spojrzał na swoją arkę przymierza, którą nosił na głowie, prawą ręką trzymając Byssenję, a lewą rękojeść miecza. A gdy starzec go pytał, co jest w tej skrzyni, ktorą na głowie nosi, odpowiedział:

— Jest w niej skarb, jakiego niemasz na całej waszej wyspie Szczęśliwej.

I myślał sobie:

— Mam swą ukochaną, która jest mojem szczęściem, i miecz, który jest moją obroną. Mogę iść spokojny.

Starzec prowadził ich do miasta.

VII

— Spojrzyjcie na to miasto imponujące, które leży przed wami!

Ani Roma, ani Londyn, ani stolica państwa niebieskiego—Pekin, ani sława starożytności—Babilon, ani żadne inne miasto na świecie równać się z niem nie może.

Z wierzchołków gór ledwie dostrzec można jego krańce. Niegdyś stało ono między dwojgiem rzek, które go odgraniczały, ale dziś pełne są zabudowań i same są już miastem.

Dziwna, piękna architektura, w blasku i bogactwie dzikiej fantazji, śmiałym rzutem ducha łączy harmonijny styl klasyczny z rozrzuconym wspaniałym gotykiem. Wrota miasta tworzą piramidy z kamieni olbrzymich, ułożonych jedne na drugich; w najniższym, z jedenastu kamieni złożonym, szeregu urządzone są otwory, tak szerokie, że wóz przejechać może; nad tym szeregiem jest drugi, o jeden kamień mniej zawierający, i tak dalej, aż w jedenastym szeregu jeden tylko kamień się znajduje, a na nim, także z kamienia wykuta, podobizna boga, obrońcy miasta, potwornego megatherion.

Na ścianach każdego kamienia wyrzeźbiona postać ludzka z koroną na głowie, z berłem królewskiem w ręku, u spodu zaś nieznanem pismem wyryto ich imiona.

Wchodzącego do miasta cudzoziemca przedewszystkiem uderzy upajająca dziwna woń, która tam zdaje się być w powietrzu i której para złotym tumanem ulatuje wieczyście nad miastem i osiada na wieżach najdalszych pałaców i na kopułach świątyń. To zapach ambry i piżma, i jakichś ziół nieznanych, które właściciele domów wśród murów rozleli i rozsypali, aby miasto całe kąpało się zawsze w morzu pachnącem. A każda ulica inne miała pachnidła, inną woń rozlewała.

Zdala już widać było wspaniałe wille, pałace miejskie, niby domki, z kart ułożone. Jeden szereg kolumn na drugim, a każdy otoczony fantastyczną sztachetką, tworzyły w ten sposób śmiało położone na sobie altany; pierwsza kolumnada była metalowa, z pięknie cyzelowanej miedzi, druga z jaspisu lub alabastru, a najwyższa ze szkła przezroczystego, w pryzmaty wyciętego, tak, że słońce w niem tęczowemi barwy się łamało.

Zewnątrz pałaców nie błyszczały okna, nie można wewnątrz zajrzeć, jak to u nas bywa; cała ściana zewnętrzna wymalowana w cudowne obrazy, któremi wciążby oko się napawało, gdyby innych nie widziało piękności.

U stóp domów, jak długie ulice, chodniki były wysłane srebrnemi płytami, a w gorące dni letnie, aby lekkie nóżki kobiet nie palił rozgrzany metal,

służebnicy w biegu rzucały przed niemi haftowane dywany.

Na dachach domów zawieszone były łukowe mosty, tak, że jeden most łączył się z drugim i można było przejść całe miasto z końca w koniec, zarówno po ulicach dolnych, jak i powietrznych. Tamte stanowiły drogę dzienną, te—nocną. Gdy pierwszy zmrok upadł na ulicę, napełniały się mosty radosnemi okrzyki i śpiewem, i muzyką, a rozweselone tłumy przebiegały po dachach i każdy miał tu swoją słodką tajemnicę.

Blask pochodni oświetlał całą tę przestrzeń i w pijanej orgji nieumiarkowana ludność traciła rozum i szalała, tak, że gdyby ktoś obcy stanął tutaj i słyszał tę wrzawę bezmyślną, zwątpiłby czy ludzi ma przed sobą.

Nad palmami gdzie niegdzie wiszą wspaniałe kopuły, niby olbrzymie jaja, ustawione na ziemi. Podziwiać tylko można tę niezrównaną architekturę, gdzie cała budowla zdaje się z oddzielnych złożona kamieni, a jednak tworzy całość nieporuszoną.

Tylko w środku miasta stoi niezdarna, ogromna świątynia, której dziewięć boków pokryto oślepiającemi tablicami z polerowanego srebra, a w tych olbrzymich zwierciadłach po stokroć i po stokroć odbija się złociste słońce i różnobarwne miasto, aż do najdalszych ulic.

Na dachu świątyni siedzi olbrzymi, ze srebra wykuty, bałwan. Głowę okrągłą ma, jak człowiek, u rąk i nóg po pięć palców, ale długi ogon ztyłu zaprzeczać się zdaje jego ludzkiej naturze. W oczodołach

lśnią wielkie, jak jaja, diamenty, w których słońce tęczowemi barwami się łamie.

To podobizna Trytona! To najstarożytniejsze bóstwo, jakie tu nad wszystkie straszydła wyniesiono; to potwór tysiącletni, którego obraz nad każdą bramą świątyni błyszczy. On wyje, gdy głodny, a wtedy drży całe miasto, drży cały kraj przed jego gniewem. Raz tylko w rok chce jeść i wtedy pożera jednego męża i jedną kobietę, którzy w paszczy jego giną. Odtąd milknie na rok cały i siedzi na złotym tronie, złożywszy ręce na kolanach, i nieruchomem okiem spogląda na swą postać, odbitą stokrotnie w srebrnych zwierciadłach chodników.

VIII

Gdyby te dziwotworne, przedpotopowe zwierzęta, te bezkształtne straszydła zawyły nagle u wrót ludnego miasta, niby huk piorunu, padającego w ulice, czyż nie zadrżałby w takim razie każdy człowiek? A jednak byłby to tylko pusty dźwięk, a dźwięku czegóż się lękać?

Może jest w głębi duszy jakieś pierwotne nieświadome uczucie, które pojmuje słowa wyjącego słonia i które w tych bolesnych skargach widzi tylko powtórzenie skarg swoich, innym językiem wypowiedzianych.

— O, przeklęte cierpienie! Gdyby ciebie nie było, byłoby szczęście na ziemi. Ty krwawisz ziemię, niebo i morze. Twój głód, mróz i nędza pustoszą lasy. Twoja wściekłość łamie góry, przebija wnętrze ziemi. Twój bezwstyd zatruwa rzeki. Twoje fale psują po-

wietrze, twój oddech zaciemnia słońce. Kamieniami zarzucasz kwitnące łąki, aby zielenieć nie mogły. Toczysz wojnę przeciw całej naturze, ty, wszystkożerny potworze! I zwierz, i roślina nie uniknie twych zębów. Groby rozkopujesz, aby ciało swe pokryć, i okradasz jednych, aby dać drugim! Przez ciebie świat pustoszeje.

Ale serca drżą, usłyszawszy grom: czy z nieba on idzie, czy z paszczy potwora? Straszny huk przeraża, a gdy zamilknie niebo czy megatherion i gdy znów ta muzyka się powtórzy, znów w sercach bojaźń się rodzi, uczucie bolesne i haniebne.

Szerokiemi ulicami płyną fale ludu w towarzystwie muzyki świątecznej. Jakaś wielka uroczystość w mieście Trytona.

Pałacowe okna pełne świeżych kwiatów, owych przedziwnych półroślin, półzwierząt, które naprzód z ziemi wyrastają z korzenia i pną się po innych roślinach, niby zielone węże, których głowa kończy się wspaniałym tulipanem; ale w tym kwiecie jest jadowite żądło i, gdy koliber siądzie na nim, aby sokiem jego się pożywić, listki się składają i wysysają krew i ciało biednego ptaka. Altany, ozdobione kwiatami, na dnie morskiem rosnącemi. Wynalazczy duch człowieka, zamiast wody, przyzwyczaił je żyć w powietrzu, choć dawnie śmiało oplatały one swemi objęciami czerwone korale i czule ściskały polipy, wzajemnie się przenikając i wciąż zmieniając swe barwy i swą postać, aż wkońcu przezroczysty małż pochłonął oboje i wciągnął w swe błękitne żyły. Zwykłe kwiaty natury nie uderzają już ludzkiego

serca; tylko dziwne, nadzwyczajne twory budzą do życia zdrętwiałe, stępiałe uczucia.

Główna ulica, od wrót począwszy, aż do świątyni Trytona, pokryta jednym dywanem, a dywan cały wyhaftowany z włosów dziewiczych. Czarne, jak heban, stanowią fundament, a z kasztanowatych i złotoczerwonych utkano kwiaty, pałace i gromady ludzi. Pewno droższej materji nie miał na świecie żaden król, ani książe udzielny. Co rok dziewice ścinają swe warkocze, co rok dywan jest dłuższy, bo miasto jest większe, a dywan musi iść z końca w koniec.

Po tej, droższej od złota, materji kroczą tłumy ludu, niby fala płynącej rzeki.

Naprzedzie idzie więcej, niż dwadzieścioro tysięcy dzieci, chłopców i dziewcząt, którzy chórem śpiewają i ku świątyni się kierują. Śpiewając, tańczą jakiś taniec konwulsyjny, twarz płonie im gorączkowo, a w oczach nie dziecinny ogień błyszczy. Podniecające napoje dawano dzieciom w uroczystości Trytona, aby pod ich wpływem upojone, śpiewały i tańczyły w konwulsjach ku czci bałwana...

Za niemi posuwa się dwadzieścia tysięcy kobiet. Odziane w świetne materje, pokryte barwnemi pióry, a twarze ich we wszystkie kolory tęczy pomalowane, brwi i usta wyzłocone, a na głowach warkocze, stokrotnie złotemi nićmi powiązane, spadają im na ramiona. Żaden rys w ich postaciach nie pokazuje, że to są boskie istoty: wszystko, co radość ludzka stanowi, ukryte, wymalowane, wyzłocone. Tylko blask oczu wskazuje, że to ludzie; tylko ogień niebieski w źrenicach—że to kobiety.

Za niemi szło trzystu sześćdziesięciu pięciu kapłanów w złotych mitrach, w długich płaszczach; w ręku nieśli berła ze srebrnemi dzwoneczkami. Byli to starcy poważni, którzy swemi wysokiemi tiarami, długiemi togami zasłaniali, znajdujący się między nimi, wóz o sześciu kołach. Na każdem kole wyrzeźbiony był obraz słońca, a na wozie łukowaty baldachim, wyhaftowany złotem i srebrem.

Na tym wysokim, bogatym wozie leży człowiek; jest blady, półumarły, oczy jego bez blasku, jak ił wody morskiej, twarz płowa, jak ziemia, policzki zapadłe, kości wystające. Cała jego postać wciela zmęczenie, zanik życia, zatratę duszy. Twarz jego nieruchoma, tylko usta drżą niekiedy.

Ten człowiek, to Teczkatlepoka.

O uroczystościach Teczkatlepoka pisali w swych dziełach historycy ziemi Azteków, których Hiszpanie wniwecz obrócili. Tak zwali oni straszliwe misterja ku czci boga, którego corocznie sami obierali.

Wyszukiwano najpiękniejszego, najdzielniejszego mężczyznę w całym kraju i sprowadzano go do miasta Trytona.

Tam, na placu, stały najpiękniejsze dziewice, o niemalowanych twarzach, o niesplecionych włosach, w cudnie utkanych sukniach z włókien szklanych.

Te zaś tak przemawiały do wybranego młodzieńca:

— Jesteś na ten rok bogiem Teczkatlepoka. Jesteś panem wszystkich piękności, władcą wszystkich rozkoszy, królem wszystkich kobiet. Każdy kwiat ci się otwiera, każde usta ciebie całują. Czy chcesz być

bogiem Teczkatlepoka? Czy chcesz się kąpać, zginąć, umrzeć w rozkoszy?

I jeżeli wybraniec, oślepiony ułudami tych czarujących piękności, z błyszczącem okiem, z przyśpieszonem biciem pulsów, zawołał:—„Tak!"—wtedy, oblanego balsamem, w sukni, perłami ozdobnej, wiedli go do świątyni Trytona i tam wybraniec, wśród zapomnienia i szału, dni i noce w rozkoszy przeżywał. Dziewice najpiękniejsze, o długich rozpuszczonych włosach, odwiedzały go kolejno, a gdy odeń wracały, bujne warkocze im obcinano. Z tych warkoczy układano ów olbrzymi dywan.

Ten szał i te sny rozkoszne rok się ciągną. A w ostatnim dniu roku, wraz z ostatnią dziewicą, którą sam sobie wybiera, zostaje ofiarowany Trytonowi. Jedna paszcza pożerała oboje.

Raz na dziesięc lat zdarzyć się może, że serce wybranego nie ugnie się przed tem upajającem widowiskiem, że wśród tych niezrównanych czarów—bo cóż czarowniejszego nad wdzięki niewieście?—odrzeknie dziewicom:—„Nie!"

Wtedy rozrywają na nim złocone suknie i mówią mu:

— Miałeś iść w świat rozkoszy i szczęścia, idź do świata boleści i smutku. Spójrz na te, śniegiem pokryte, góry. Tam mieszkają dwie nieme siostry: Próżnia i Nicość! Idź tam! Tam w przerażeniu i męczarni ginie każdy człowiek i każde zwierzę. Żyj tam samotny w głodzie, w mrozie, w nędzy. Niech z tobą pójdzie ta, co cię kocha!

I wtedy, wśród szyderstw i śmiechów niewieścich,

odprowadzano człowieka, który odmówił rozkoszy, do bram miasta i przeklinano go, aby nigdy nazad wrócić nie mógł.

I zwykle oddalającemu się towarzyszy dziewica, skromniejsza, łagodniejsza, niż inne, bogatym złocistym włosem źle ukrywająca wdzięki swej postaci. Podaje ramię wyklętemu i wraz z nim uchodzi z miasta rozkoszy do nieznanej krainy lodów. Gdyż odmówić tylu czarom nikt nie może, prócz prawdziwej, czystej miłości, która jest niepodzielną, jak bóstwo.

Ale taki wypadek zdarza się raz na lat dziesięć.

Ośmieszonych, obrzuconych błotem kochanków dzika tłuszcza prowadzi ku mglistym, śnieżnym górom, do krainy chmur i lodowisk, i nigdy żadne oko ludzkie nie widziało, aby stamtąd jeszcze powrócili. Nie zdarzyło się nigdy, aby ich znów ktoś w mieście zobaczył. Przypuszcza się, że giną tam z zimna i głodu lub stają się pastwą dzikich zwierząt, albo w mogiłę nędzy wpadają.

Ta uroczystość Teczkatlepoka odbywa się raz na rok, kiedy zagrzmi na milowe przestrzenie ryk zgłodniałego Trytona i wtedy, skąpanego w rozkoszy, młodzieńca stawiają na wóz triumfalny, złotem wybity ze wszech stron i, wśród śpiewu i muzyki, na śmierć prowadzą.

Oto historja człowieka, który leży na złotym wozie.

Procesja idzie dalej. Za kapłanami idą dziewice: na głowach wieńce z kwiatów, suknie ognisto, przezroczyste. Między niemi na wozie poświęcona dziewica.

Za tą półnadziemską, półpiekielną grupą szli mężczyźni.

Co za mężczyźni! Zgięte, zgarbione postacie, z chwiejącemi się kolanami, z ramionami bez mięśni, z wklęsłemi piersiami! W twarzy ich niema duszy, w oczach niema ognia! Nędzni, zwiędnięci, szałem zniszczeni ludzie! A jeśli jest między nimi jaki dzielniejszy, piękniejszy młodzieniec, to niby dziw wygląda wśród tej tłuszczy osłabionej. A na wszystkich twarzach, na pięknych i na brzydkich, jest jakieś znamię przeklęte, jakiś wyraz straszliwy, który oznacza zwierzę, demona i szaleńca.

Rzecz dziwna, że kobiety są tu po większej części piękne, a mężczyźni wstrętni. Niedaleki snadź upadek i zagłada ludu!

W końcu za szeregami mężczyzn idzie piekielna, bezrozumna tłuszcza potworów, którym ludzki język nazwiska nie nadaje. Zwierzęta o ludzkich głowach, ludzie o głowach zwierzęcych; straszliwe urągowiska ładu boskiej, świętej matki natury; przeraźliwe połączenia człowieka ze zwierzęciem, przeklęte świadectwa znikczemnienia rozszalałego króla stworzenia—istoty, o których dziejopisarze przeszłych wieków wspominają często, lecz raz tylko mówią o zagładzie jednego z tych potworów—o Minotaurze z wyspy Krety.

IX

Przez jedyne okrągłe okno w kopule wchodzi światło do świątyni Trytona.

Pośród strasznych, rzeźbionych posągów, które, niby kolumny, utrzymują powałę, siedzi najwyższe

dziwo pierwotnego świata, istota, której natura chciała nadać formę człowieczą: homo diluvii.

Ma cztery sążnie długości, nogi jego nieproporcjonalnie krótkie, długie łokcie spoczywają na kolanach. Całe ciało pokrywa błękitnozielona łuskowata skóra, jak u węża morskiego, który ze starości się pofałdował. Twarz jego podobna jest do twarzy ludzkiej; skóra w niektórych miejscach jaśniej błękitna; zagięte, ale nad nosem ściśnięte, małe zapadłe czoło: w ogromnych oczodołach dwie błędne źrenice, zimne, jak kamień rubinowej barwy, wokół których jasne koła, jak u ryby; usta jego są bez warg i tylko wtedy je widać, gdy usta otworzy, a gdy otwiera, to od ucha do ucha; uszy słabą błoną przykryte.

Głowę jego zdobi złota korona, z czterema, do góry stojącemi, rogami, na których śmiało porozwieszane brylanty. Ztyłu grzebieniowaty ogon, którym tron owija.

Tak z roku na rok siedzi nieruchomy potwór na swym tronie. Jedynym znakiem życia leniwy ruch oczu. Raz na rok głodnieje, z rykiem otwiera paszczę, a gdy go zaspokoją, znów milknie na rok cały; dwie ręce na kolanach składa; nieruchomem okiem spogląda na kamienne potwory, nieprzystępny żadnym wpływom wewnętrznym.

Rozmowy ludzi, ciche głosy zwierząt, dźwięcząca naokół muzyka jest mu tak niepojętą, jak dla nas miłosne szepty muszli lub filozoficzne rozprawy mrówek. Pojmuje tylko ryk jednorodnych z nim potworów pierwotnego świata.

To straszydło gnuśne, tylko potęgą swego głosu

i przerażającą postacią zdobyło swą siłę. Dziecka nie odważyłoby się ruszyć, gdyby mu śmiało w oczy rzekło, że się go nie boi. A jednak drży przed nim cały lud: sługi jego—roślinożerne mamuty, megatheria, iguanodonty—karmi pierwszym owocem wiosny; jemu samemu daje krew najdzielniejszych mężów, najpiękniejszych dziewic, u stóp jego składa złoto z głębi ziemi, perły z głębi morza, zioła z głębi lasów i zowie go bogiem, któremu niemasz równego wśród dziwotworów dyluwjalnych, którego natura obdarzyła bezgranicznem życiem, który siedział cichy, nieruchomy i żywy, kiedy nowa tęcza błyskała nad światem, gdy pokolenia ginęły, gdy się na nowo rodziły coraz wyższe, coraz doskonalsze, coraz bardziej ludzkie.

Zły, krwawy koniec miała uroczystość; boga Teczkatlepoka i dziewicę prowadzono do świątyni Trytona. Ciężkie wrota zamykały się za nimi, a wraz z nimi szło trzystu sześćdziesięciu trzech kapłanów.

Co się tam w świątyni działo, nikt tego nigdy nie widział. Bolesny jęk i potworny ryk trwały chwilę.

Na nowo otwierano wrota, a kapłan najwyższy dawał znać ludowi, że na słowa potężnego Trytona spadł złoty obłok z nieba i uniósł w niebiosa młodzieńca i dziewicę, a tam, wśród uroków i rozkoszy, szczęśliwa wieczność ich czeka, tak, jak szczęśliwym był rok, jaki przeżywa bóg Teczkatlepoka.

Kto wątpił, mógł zliczyć wychodzących ze świątyni: było trzystu sześćdziesięciu trzech ludzi; o dwoje mniej, niż poprzednio. Prócz nich, w świątyni nie było nikogo, tylko kamienne bałwany i ten potwór, który teraz, zaspokojony, śpi na swoim tronie.

X

A teraz idźmy na obiór boga.

Na wielkiej arenie, urządzonej w formie amfiteatru, zasiadł lud Trytona. Cztery piętra wznoszą się jedne nad drugiemi, podparte posrebrzanemi, miedzianemi kolumnami, a korona każdego słupa kończy się głową ptaka, który przez złocony dziób bije fontanną jakiegoś podbudzającego napoju, spadającego do srebrnej cysterny z wysokości dwudziestu łokci kryształowemi kroplami, które w promieniach słońca barwią się wszystkiemi kolorami tęczy.

Lud, zalegający galerje, hojnie napełnia gardła tym płynem, co go oszałamia i niby półczłowiek, półzwierzę, otacza wodotryski i pełnemi usty truciznę pije. Dzikie płomienie bezrozumnego szału napełniają hordę, zgromadzoną w amfiteatrze. Twarze im płoną, wszystkie zmysły podrażnione, łakną rozpustnego zaspokojenia. W piersiach tych ludzi gore piekielny i potworny ogień — zniszczenia.

Wśród galerji siedziały też dzieci, które sprowadzono, aby widziały dobry przykład, aby też brały udział w uroczystości. Przerażenie opanowywa, gdy zamierzamy to opowiedzieć.

Blisko areny, na dwunastu wzniesionych, złotem utkanych, ławach, siedzi trzystu sześćdziesięciu pięciu kapłanów. U ich stóp znajdują się muzykanci ze srebrnemi, długiemi rogami, ze szklanemi fletami, których dźwięk miękki i słodki budzi w sercu tajemne czucia i wszystkie zmysły upaja. Na wzniesieniu wśród areny cztery ogniska płoną wonnem kadzidłem, któ-

rego dym błękitny w pijanym tłumie jeszcze bardziej żądze podnieca.

Na znak kapłanów otwierają się wrota na drugim końcu areny i, jak niegdyś, z poza karcerów cyrku rzymskiego, wyprowadzano na śmierć gladjatorów, tak tu dwóch mężów wyprowadzono, z których jednego lud na boga miał wybrać, aby po roku uciech i pocałunków dziewiczych, wtrącić do paszczy Trytona.

Dwóch znaleźli kapłani ludzi wybitniejszych ponad innych: jednego odkrył kapłan ichtjozaura, drugiego kapłan magatherionu. Teraz miano wybrać jednego z nich na boga uciech ziemskich.

Obaj ludzie przykryci byli gęstą gazą, a gdy wstąpili na wzniesienie wpośród areny, reszta kapłanów zbliżyła się, aby ich obejrzeć.

Okrzyk ludu ucichł w przeciągłym szmerze; z natężoną uwagą spoglądały wszystkie oczy na dwie wzniesione postacie, stojące wśród czterech obłoków wonnego dymu kadzideł.

Poczem kapłan ichtjozaura zerwał gazę z pierwszego człowieka i rzekł:

— Patrzcie i podziwiajcie!

Był to brzydki, olbrzymi, sześć stóp wysoki człowiek. Twarz jego raczej zwierzęca jest, niż ludzka, broda rozrzucona, brwi zrosłe, nos płaski, grube wargi znamionują zwierzęcą siłę i zwierzęce żądze. Na szerokich barkach i wielkich ramionach bezkształtne mięśnie tworzą twardą bryłę.

Cała postać jego przeraża. Ale lśniąca odzież pokrywa tę potworną postać. Na ramionach mu leżał płaszcz, śmiało zarzucony, perłami wyhaftowany i zło-

tem; gęstą, twardą czuprynę i czoło pokrywa złoty szyszak, u spodu brylantem spięty; w lewej ręce trzyma tarczę szeroką, obwieszoną włosami z głów, zabitych w boju, nieprzyjaciół; w prawej—na stopę długi miecz miedziany, na którego pochwie wyryte obrazy przeróżne. Cały ten oręż waży pół centnara.

Gdy zdjęto maskę z młodzieńca, lud przyjął go radosnym okrzykiem, podobnym do wycia zwierzęcia, którego żądze zostały zaspokojone.

Wtedy drugi kapłan zbliżył się do drugiego człowieka i, zdejmując gazę, zawołał:

— Patrzcie i uwielbiajcie!

Drugi mąż nie był ubrany złotem ani brylantami. Czarna, jednostajna, cudzoziemska pokrywała go suknia, a cała jego postać tchnęła szlachetnością i męstwem. Głowy swej również nie przyozdobił drogiemi kamieniami, ale gęste krucze włosy swobodnie rozpuścił. U boku jego wisiał krótki miecz, który zdaje się mówić, że z wrogiem sobie z łatwością poradzi.

Kapłan rzekł do ludu:

— Spojrzyjcie! Ten człowiek jest cudzoziemcem. Z zamorskich dalekich krajów potężne ramię Trytona sprowadziło go do nas. W jego oczach inny ogień płonie, w jego sercu inna krew krąży, niż w sercu naszych ludów, ale przed jego obliczem znika twarz każdego z mężów, na naszej glebie zrodzonych. Nie powiem więcej. Macie oczy! Wybierajcie!

Drugi kapłan zawołał:

— Kto chce wojownika?

Z pośród tłumu wyleciało ku wojownikowi kilka

wieńców, które rzuciły kobiety o zepsutym smaku, lubujące się w dzikiej postaci bezkształtnego Herkulesa.

A gdy kapłan megatherionu zapytał:

— Kto chce cudzoziemca na boga?

Wtedy nieskończony grad wieńców posypał się na arenę. Piękne kobiety z głów i piersi zrywały kwiaty i z triumfalnym okrzykiem rzucały je na obcego mężczyznę, tak, że cały amfiteatr barwnem kwieciem się zapełnił.

— Jego, jego tylko chcemy na boga!

Diamentami i złotem odziany rycerz, dumnie i gniewnie spojrzawszy naokoło, zeszedł, wraz ze swym kapłanem, ze wzniesienia i, złożywszy na ramieniu swój długi, lśniący miecz miedziany, siadł na ostatnim schodzie.

Obcy człowiek pozostał na estradzie sam z kapłanem swoim, który, otoczywszy mu głowę wieńcami, triumfalnie rzekł do niego:

— Witaj, bożku Teczkatlepoka! Witaj w imieniu pięknych i rozkosznych dziewic! Tyś wybraniec ludu! Przyjmij władzę, jaka ci się należy. Jesteś królem piękności, jesteś półbóg rozkoszy, jesteś władcą kobiet. Każdy kwiat ci się otwiera, każde oko błyszczy dla ciebie, każde usta uśmiechają się. Witaj, bożku Teczkatlepoka!

Lud grzmiącem wyciem zatwierdził to pozdrowienie. Tylko w jednym ciemnym kąciku amfiteatru jakaś smutna zawoalowana postać, drżąca kobieta, mają a w ręku arkę prawdziwego Boga, nie wtórzy pozdrowieniom, lecz z westchnieniem mówi do siebie:

— O, Bar Noemi!

Bar Noemi nie słyszał tego cichego westchnienia. Zagłuszyła je muzyka szklanych fletów, dźwięki srebrnych rogów, głośny chór dzieci i śpiew rozkosznych dziewic. Nie przedarły się przez tę wrzawę słowa Byssenji do Bar Noemiego.

Tańczyły naokoło niego ułudne, białe postacie, w obłocznych, przezroczystych sukniach, z rozwianym włosem, ulatującym w powietrze, z płomiennemi oczyma, jaśniejszemi, niż słońce: postacie upajające rozkoszą. I któżby nie stracił tu rozumu?

I znów słyszeć się dało ciche, smutne westchnienie:

— O! Bar Noemi!

A jemu zdawało się, że tonie już w zapomnieniu uroków.

Cóż to jest? Miałże on oczy, miałże serce, miałże uczucie, które mu chwiać się kazało? Gdyby sto lat żył jeszcze, czyż zdobędzie kiedykolwiek tyle rozkoszy i tyle szczęścia naraz? Tysiąc kuszących istot czarodziejskim kręgiem go otacza, kręcą się, rozkręcają, coraz ich więcej, coraz piękniejsze, coraz bliższe: już oddech ich czuje na swych ustach, już oczy ich lśnią w jego duszy, już pieśń ich serce mu przenika. Jedno tylko słowo z ust jego wyjdzie, a utonie w bezbrzeżnem morzu rozkoszy i umrze najsłodszą śmiercią, która jest tylko jednym długim, długim pocałunkiem.

Muzyka i śpiew dźwięczą upajająco, czarowna woń kadzideł oszałamia ducha, białe ramiona tancerek dotykają już ramion młodzieńca, wybranego na boga — gdy, po raz trzeci, cichy jęk na amfiteatrze się powtórzył:

— O, Bar Noemi! O, Jehowa!

Nagle wybraniec powstał. Niby ze snu się zbudził, z czarownego snu, który mu zmysły uwięził. Podniósł rękę, zerwał z głowy wieniec różany, rozdarł go i na ziemię rzucił i grzmiącym głosem zawołał:

— Jam nie jest Bóg! Jeden jest Bóg, Jehowa!

Zamilkł śpiew, ucichła muzyka, jak kiedy struny arfy padają rozerwane. Cudne postacie tancerek zamieniły się w furje, słodka harmonja przetwarza się w hałas piekielny. Przekleństwa, szyderstwo, śmiech rzuca rozszalała tłuszcza na tego, którego na bóstwo swoje przed chwilą obrała.

Każdy zadrżałby wobec takiej burzy, ale nie zadrżał Noemi. Znalazł on imię tego, który mu męstwo dawał wśród rozgniewanych żywiołów i wśród pyłu bitew — i, wyjąwszy miecz z pochwy, stanął wśród tej hordy wyjącej, jak Bóg prawdziwy. On jeden był mężem tutaj, gdzie nie było więcej mężów.

Powstał i mówił do dzikiego tłumu. A głos jego grzmiał tak, że zagłuszał wrzawę przekleństw.

— Słuchajcie, ludy Trytona! Wy jesteście nędzni bałwochwalcy! Wyście pomalowane groby, które za życia opuściły duszę! Słuchajcie moich słów! Imię moje jest Bar Noemi. Obroną moją jest Bóg prawdziwy, którego nigdy nie widziało ludzkie oko. Męstwem mojem jest mój silny miecz, który mnie nigdy nie zawiódł. Powiadam zatem wam, którzy Boga oszukujecie i jego szlachetny obraz — człowieka, że niemasz wśród murów waszego miasta nikogo,

ani starca, ani młodzieńca, przed którym serce mojeby zadrżało.

Bladość wstydu i gniewu wszystkie twarzy pokryła. Gdzie indziej twarz od gniewu i wstydu płomienieje, tutaj staje się białą.

Prawdę powiedział Bar Noemi: w całem mieście, w mieście rozkoszy, nie było męża, coby potrafił miecz przeciw cudzoziemcowi podnieść, coby ich hańbę pomścił. Stał on bowiem między nimi na wzniesieniu, z twarzą zuchwałą i z podniesionym orężem, jak anioł zemsty, który sądzić przyszedł ludzi, nie zaś walczyć z nimi.

Rycerz w diamentowym szyszaku, z szerokim i długim mieczem miedzianym, o postaci Herkulesa, siedział na ostatnim schodzie i nawet głową nie ruszył.

Kapłani i starcy w zwątpieniu zwrócili się do niego, pobudzając go, aby wstał i skąpał swój miecz w jego krwi, przed oczyma całego ludu: rycerz nie chciał się poruszyć; widziadło rozkoszy jeszcze teraz ciało jego i duszę pogrążało w śnie bezwładnym. Filozofowie rozkoszy znaleźli w misterjach ową potężną truciznę, która męża zniewieścia, która serce osłabia i, na miejscu rycerskiej odwagi, stawia pustą żądzę. Pod jej władzą nawet Herkules przywyka do przędzenia nici u stóp kobiety.

Wreszcie podano mu kielich napoju, który zazwyczaj pili, idący do boju, rycerze. Był to napój, wywołujący febryczne podniecenie nerwów, zrobiony ze krwi dzikich zwierząt i z jadowitych owoców: rodził on w sercu nieugaszone pragnienie krwi. Ogni-

ste krople bojowego trunku rozpaliły nerwy bojownika. Powstał, spojrzał wokoło krwią zaszłemi oczyma, na wykrzywionych ustach pokazała się żółta piana, policzki płonęły sztucznym ogniem.

— Któż to, któż to mnie wzywał? — zawołał dzikim głosem, podobnym do ryku bestji, i ruszył naprzód, podniósłszy ciężki, szeroki miecz, niby trzcinę nad głową, z oczu mu błysnął zielony ogień, a pod jego ciężkiemi nogami kamienie wyrównywały się z ziemią.

— Zabij go! Zabij przeklętego cudzoziemca, pohańbiciela ludu! — grzmiało z galerji i wszystkie ręce pokazywały na Bar Noemiego, który stał na szczycie wzniesienia, otoczony naokoło wieńcami, któremi go taż sama tłuszcza zarzuciła.

Wojownik z wściekłym okrzykiem podniósł miecz nad głową, chcąc uderzyć wroga, i skoczył, jak głodny lew, gdy czuje zapach krwi.

— Pomóż, Trytoniel — zawył lud.

Jedno tylko westchnienie w całym cyrku brzmiało inaczej:

— Pomóż, Jehowa!

Bar Noemi ani na chwilę nie ruszył się z miejsca. Niby posąg stał na wzniesieniu i czekał wroga, a gdy ten nań uderzył, śmiało go odparł.

Spotkały się w powietrzu dwa miecze, lecz wnet walka ustała. Szeroki miedziany miecz, olbrzymią ręką trzymany, został złamany na dwoje i z łoskotem upadł na ziemię.

Stalowy miecz Bar Noemiego nigdy jeszcze lepiej bitwy nie rozpoczął.

Serca ludu nagle napełniły się zwątpieniem. W kraju tym nie znano żelaza, cała broń była z miedzi; więc strach serca ich ogarnął, gdy ujrzeli błękitne iskry nieznanego metalu, który za pierwszem uderzeniem oręż miedziany złamał na dwoje.

— Ach! Trytonie, ach!

Przestraszony wojownik ukrył się przed Bar Noemim poza swoją szeroką srebrną tarczą, ozdobioną włosami poległych wrogów.

Ale tarcza została przebitą, a nowe uderzenie rozdarło bogów, wyrzeźbionych na jej powierzchni.

— Ach, Trytonie, ach!

Od nowego uderzenia padł olbrzym na kolana i ledwie silne jego ramię potrafiło uchylić się od ciosu. Lecz Bar Noemi w pierś mu wepchnął swą żelazną rękę, aż kości mu zatrzeszczały i wreszcie ostatnim ciosem szyszak mu rozbił na dwoje.

Pod błękitną stalą z diamentów i topazów sypały się iskry, jak błyskawice. A gdy iskry zagasły, upadł ze złotej estrady wojowniczy olbrzym, który umierającem okiem spoglądał w noc wieczności.

Przestraszony lud opuścił smutne twarze ku ziemi. Kapłani rozdarli swą odzież i upadli do nóg Bar Noemiego.

Z pochyloną głową, kapłan Megatherionu drżącym głosem zawołał:

— Obcych ludów boże, który iskry ciskasz z rąk swoich, powiedz, czego chcesz od nas?

— Chcę mojej żony, którą oderwaliście ode mnie; chcę arki, gdzie są przykazania Jehowy; wreszcie chcę opuścić to miasto.

Wtedy dopiero ze łzami w oczach wystąpiła z poza kolumny Byssenja i z pocałunkiem przesłała rękę Bar Noemiemu, który był tak silny, tak stały.

— O, jak szczęśliwa kobieta! — z westchnieniem mówiły do siebie niewiasty Trytona, którym nie dano rozkoszy rzec dumnie do siebie: — „Jestem żoną swego męża".

Nikt nie śmiał, oddalającego się z miasta, Bar Noemiego śmiechem i szyderstwami zarzucić. Lud, który ich odprowadzał, nie śmiał nawet patrzeć na niego.

— To nie człowiek — mówili kapłani — to obcych ludów bóg, któremu ręka ludzka nie da rady. To jakiś bóg surowy, gniewny, mściwy, dla którego niemasz miejsca w mieście Trytona. Radujcie się, że na zawsze nas opuścił.

XI

Sto bram miedzianych miał gród Trytonowy, skąd szły na wszystkie strony świata drogi, kamieniem wybite. Od jednej tylko bramy żadna nie prowadziła droga: tędy szło się ku śnieżystym górom, gdzie mieszka niewidzialne bóstwo nicości i próżni, dokąd zwykle ci, co pogardzali szczęśliwością ziemską, uchodzą z miasta rozkoszy. Progi tych wrót były zarosłe dawno niedeptaną trawą.

Bar Noemi nie spojrzał poza siebie na opuszczone miasto, póki gór nie doszedł. Tam, gdzie południowa roślinność opuszcza ziemię i, zamiast tego, tworzy smutne lasy, i gdzie, zamiast palm, rosną jodły, na najwyższem drzewie grucha piękne znajome

ptaszę, złotoskrzydły gołąb. Staje przed Bar Noemim, gdy ten w góry wstąpił i, jak niegdyś na morzu, tak teraz drogę mu wskazuje w tych lasach nieprzebytych, po mroźnej krainie gór niebotycznych.

Samorodzące drzewa i rośliny pozostały za nimi, tu się zaczyna ziemia, która bez pracy nic nie daje, która dla leniwego syna jest macochą, na miłość której trzeba zasłużyć. To jest miejsce, dokąd Bóg po wygnaniu zaprowadził człowieka i błogosławił go, mówiąc: — „W pocie czoła twojego chleb twój jeść będziesz".

Mylili się mędrcy starożytni, gdy zwali to przekleństwem: praca jest błogosławieństwem, a pot na czole jest największą ozdobą podobizny Boga na ziemi.

Wciąż dalej szli w góry. Bar Noemi i Byssenja wstępowali wciąż wyżej, a serca ich napełniała radość, że coraz bliżej są nieba.

Na jednej wzniesionej skale stanął gołąb na ziemi, jakby mówił:—„Tu się zatrzymajciel" Na wonnej murawie białe i niebieskie dzwonkowate rośliny kołysały barwne swe główki; wśród zielonych gajów miłośnie dźwięczały śpiewy drobnych, żółtych ptasząt i wszystko tam było nowe i nieznane.

Teraz dopiero poza siebie spojrzał Bar Noemi.

Miasto Trytona było pokryte jakimś żółtym tumanem, nadającym okolicy barwę śmierci, z której już żaden wicher zbudzić go nie może. Na równinach, ponad wysokiemi domami, na olbrzymich ołtarzach paliły się ognie ofiarne, lecz ciężki i ciemny ich dym nie unosił się w niebo, tylko ku ziemi spły-

wał i niby pod ciężarem przekleństw, nieruchomy stawał nad dachami domów i otaczał kopuły i wieżyce i bezmyślnie stojące bałwany.

Na dalekim horyzoncie gra ciemności i świateł wytwarza iluzyjne widziadła: zda się, że miasto jakąś burzą wewnętrzną wstrząśnięte, wali się, że wieże i pałace, jedne po drugich, padają, że korony palmowych lasów tańczą: w jednej chwili wszystko się osnuwa mgłą zniszczenia, cała równina grodu Trytonowego morzem pochłonięta i tylko wierzchołki wysokich drzew i wyższych jeszcze murów nad wodą widnieją, a nad niemi płyną żagle bystrego okrętu. Po chwili jednak miraż ten zniknął. Znów inna była gra optyczna i na horyzoncie znow widać lasy i pola, znów wieże miasta się złocą.

Bar Nemi i jego żona z podziwem przyglądali się temu zjawisku, którego istotę pojąćby mógł tylko duch, umiejący czytać tajemnice Boże i mimowoli złożyli ręce do modlitwy, błagając wszechmocnego Jehowę, aby pozwolił im oddalić się od tego ludu, nad którym znać jego gniewną prawicę, i aby im nie dał zginąć tak okropną przedwczesną śmiercią.

XII

Tam, za górami, po drugiej stronie, inny zupełnie świat się znajduje.

Jedenaście wierzchołków śnieżnych gór odgranicza nową ziemię; u stóp góry są ludne wioski, zaorane pola, szczęśliwe i spokojne chaty.

Tutaj mieszkają ci, którzy różnemi czasy wydalili

się z miasta rozkoszy i, przez nikogo nie żałowani, uszli na śnieżne góry, gdzie mieszka nicość; tam pobudowali domy i od stuleci do stuleci, rozmnażając się, wytworzyli naród, co w pracy i czystości przeżywał dni swoje.

Żadnego blasku tam niema, prócz na twarzy; żadnego skarbu, prócz w sercu; a największą na tej ziemi radością — jest szczebiot dzieci.

Dobrzy ci ludzie serdecznie przyjęli nowych przybyszów i własnemi rękami zbudowali im chatę obok chat swoich, ogród im urządzili i we wszystkich pierwszych pracach najgorliwiej im pomagali. Kiedy już dom ich i gospodarstwo całe w porządku były, kiedy ognisko ciepłe promienie rzucało, a łoże było pokryte skórą zwierzęcą, wtedy zaprowadzono Bar Noemiego do „najstarszego", który na najwyższej górze mieszkał i stamtąd patrzył na innych i sądził.

Swy naczelnik tego kraju mieszkał w chacie takiej samej, jak inni, i niczem się zewnętrznie od innych nie odróżniał, chyba wielkim rozumem, i nawet drobne dzieci go znały, chociaż purpury nie nosił.

Tu opowiedział mu Bar Noemi wszystkie swe dziwne przygody, począwszy od swej cudownej podróży z odległych krajów na bezżaglowym i bezsterowym okręcie; o nieszczęściach, jakie go spotkały w mieście Trytona; o sądzie Bożym w pojedynku z olbrzymem i o owem tajemniczem zjawisku na niebie, będącem jako proroctwo klęski dla tego świata.

Starzec ciągle bardziej smutniał pod wpływem

opowieści Bar Noemiego, a gdy ostatnie słowa usłyszał, głowę pochylił i począł gorzko płakać.

Bar Noemi ze drżeniem pytał starca o przyczynę łez jego.

Na to starzec odrzekł:

— Powiedziałeś, młodzieńcze, że gdy się spełnią czasy, kiedy Pan sądzić przyjdzie ziemię, oddzieli on sprawiedliwych od niesprawiedliwych. Wtedy miljony ludzi zniknie z powierzchni ziemi i cała ziemia zniknie pod nami, aby już więcej grzechu nie było.

I gorzko płakał starzec nad światem, chylącym się ku końcowi.

Bar Noemi otarł łzy starca, podniósł go z ziemi i powiedział:

— Nie płaczl gniew Pana jest ubłagany. W dziejach mego ludu czytałem, że raz wydał Pan na jedno wielkie miasto wyrok surowy i zapowiedział, że go zniszczy i posłał proroka do ludu, aby mu objawić, że, jeżeli grzechu nie rzuci, zginie. Lud usłuchał, pokutą i żalem przebłagał Pana i pozostał na ziemi. Innym razem ośm miast skazał Pan na zagładę i miał je ogniem niebieskim w popiół obrócić, a na ich miejsce utworzyć morze cuchnące. W jednem z tych miast żył jedyny człowiek sprawiedliwy, który Boga miał w sercu. Pan uwiadomił tego człowieka o straszliwym swoim wyroku i kazał mu miasto zatracenia opuścić. Sprawiedliwy człowiek pytał z płaczem Boga: — „Panie mój! czyż zagładzisz prawego wraz z nieprawym?" Na to mu odrzekł Pan: — „Jeżeli znajdziesz w Sodomie pięciu spra-

wiedliwych, tedy pożałuję miasta". Słuchaj, starcze, co Bóg powiada, to nigdy się nie zmieni, bo słowo Jego trwalszem jest, niźli światła niebieskie. Dlatego mówię ci: wybierz z pośród swego ludu czterech mężów, sprawiedliwych w postępkach, czystych w mowie i którzy nigdy bliźniego nie skrzywdzili, cudzej żony nie pożądali, ani słowem, ani czynem Boga nie zaprzeczali. Ja pójdę z nimi do miasta Trytona i będzie nas tam pięciu. Pięciu prawych ludzi dość będzie, by świat uratować.

Starzec ucałował w twarz Bar Noemiego i z westchnieniem doń powiedział:

— Zaprawdę, jesteś prorokiem Bożym i umiesz czytać znaki przyszłości, Pan bowiem złożył w twem sercu myśl swoją. Mam czterech synów, którzy pójdą z tobą. Dusze ich czyste są, jak kryształ, a serce ich nie zna strachu. Pięciu ludzi niech naród ocali.

Potem wywołał synów swoich starzec. Ci, wraz z Bar Noemim, umyli się wodą, spadłą z niebios, klękli przed starcem, on zaś ich błogosławił.

A gdy ruszali w drogę, Byssenja, uścisnąwszy męża, pytała:

— Dokąd idziesz?

Bar Noemi nigdy nie kłamał, lecz żony swej nie chciał smucić i odrzekł:

— Do raju.

I prawdę rzekł, gdyż miasto Trytona było rajem rozkoszy.

A gdy szli dalej, Byssenja znów ucałowała męża i zapytała:

— Jeżeli idziesz do raju, dlaczego mnie ze sobą nie bierzesz? Powiedz prawdę, dokąd idziesz?

Bar Noemi i teraz nie skłamał i rzekł żonie:

— Do piekła.

Zaprawdę, piekłem było miasto Trytona.

Żona, rzuciwszy mu się w objęcia, z płaczem go po raz trzeci pytała:

— O, mężu mój! o, Bar Noemi! dlaczego chcesz tam iść?

I po raz trzeci odrzekł jej Bar Noemi, podnosząc rękę ku niebu:

— Z wyroku Boga.

Zaprawdę, był wyrok Boga nad miastem, do którego dążyli.

Z wysokości gór, na których stali, widać było całą równinę i znów stanęła przed ich oczami przerażająca Fata Morgana: ulatujące w powietrze pałace, burzące się miasta, tańczące ogrody, spadające wieże — i szumiące, straszliwe morze, które całą ziemię pochłania.

— Oto znaki Boga! — mówił starzec z westchnieniem i błogosławił pięciu wędrowników, aby mężnie walczyli u Boga o tę część świata i w tej części świata o Boga.

Bar Noemi złożył z pokorą usta na jego ręce i powiedział:

— Kogo błogosławisz, niech będzie błogosławiony; kogo karzesz, niech będzie ukarany.

Pięciu ludzi zeszło z gór śnieżystych.

Starzec zaprowadził Byssenję do swej chaty, pomiędzy córki swoje, które ją, jak siostrę, przyjęły,

a gdy ujrzał, że ona skrycie wylewa łzy po oddalonym mężu, rzekł do niej pocieszająco:

— Nie lękaj się, on powrócił.

XIII

Miasto lśniło zdala wśród ciemności wieczornej, gdy pięciu ludzi stanęło u jego bramy. Wszystkie domy błyszczały od pochodni i lamp różnokolorowych.

Zaczynała się uroczystość kwiatów, mająca trwać trzy dni. W owym czasie wszystkie ulice i dachy domów były pokryte wonnemi kwiatami, słupy były uwieńczone bukietami z ziół rozmaitych, a posągi bogów były połączone barwistemi i pachnącemi łańcuchami.

Święto kwiatów jest też świętem miłości: róża, wiosna, kwiecista łąka — to najpiękniejsze zjawienia. Wiedzą o tem mieszkańcy miasta Trytona i uważają się za szczęśliwych ludzi, gdy rozpoczyna się ta uroczystość: uroczystość róż, łąk i wiosny.

Po ulicach, obsypanych kwiatami, idzie pięciu smutnych ludzi; na ramionach mają płaszcze, w rękach długie spisy. Ci, co ich spotykają, z podziwem na nich patrzą. W mieście Trytona, w owym dniu żaden mężczyzna sam nie chodzi: każdy ma towarzyszkę. Ani oręża w owym dniu żaden mężczyzna nie nosi. Pewnie to cudzoziemcy, którzy zwyczajów nie znają.

Na placu, pośród kwiatów, stoi stare wydrążone drzewo oliwne, którego gałęzie spadają na ziemię, a ciemne liście, jak baldachim, otaczają pień drzewa.

Pięciu obcych rycerzy w każdym domu przywołuje ciche syknięcie, pieszczony głosik, słodkie słowo. Uśmiechnięta twarz, kuszące oko spogląda na nich, z mostów spadają im na głowy woniejące kwiaty.

Oni zaś milczą i nie zwracają na to uwagi; idą ku starej oliwie i tam wbijają swe włócznie; na włóczniach zawieszają płaszcze, aby namiot urządzić, i zabierają się do spoczynku.

Ciekawy lud otacza obcy namiot; naprzód szepcze coś między sobą, później ich wywołuje, wreszcie zuchwale podnosi zasłony, zagląda i wzywa na uroczystość.

Bar Noemi powstał i ukazał się wśród tłumu.

— Mieszkańcy miasta Trytona, dużo was jest tutaj?

Lud poznał z grzmiących słów zwycięzcę olbrzyma i z przestrachem rozsunął się przed nim.

Bar Noemi spojrzał na ten tłum, pokryty morzem kwiatów: ile głów—tyle wieńców.

— Idźcie i zwołajcie więcej ludzi. Przyślijcie ich tutaj, aby usłyszeli, co powiem.

Z ulic i mostów, z dachów i mieszkań wybiegła moc ludzi i słuchali ciekawie.

— Mieszkańcy miasta Trytona!—mówił Bar Noemi —słuchajcie, czego wysłuchać musicie! Pan, jedyny Bóg prawdziwy, Pan morza i ziemi, mówi do was przez moje usta. Pięciu ludzi sprawiedliwych przybyło do waszego miasta, aby usunąć wyrok Boga, który na zagładę ostateczną was skazał. Nie lata, ale dni wasze są już policzone, albowiem wypełniła

się czara waszych grzechów i nadeszła godzina kary. Pokutujcie za wasze winy, posypcie głowy wasze popiołem i proch rzućcie u wrót waszych domów, zamiast kwiatów i zielonych liści, gdyż zaprawdę, powiadam wam, gniewna ręka Pańska wisi nad wami i niedługo nadejdzie chwila, kiedy ta ziemia przestanie rodzić kwiaty i zielone liście!

Lud głośno śmiać się począł.

— Ten cudzoziemiec sam nie wie, co mówi. Co za szkoda: taki piękny człowiek, a taki bezrozumny! taki silny, a taki zimny!

I wesoło tańczyli i śpiewali, hołdując kwiatom, które kwitną na zielonych gałęziach i na różowych ustach niewiast.

I oto tej samej nocy, kiedy Bar Noemi ukazał ludowi gniewny palec Boży, z przeraźliwem brzęczeniem przybył z pustyń ciemny tuman, niezliczona chmara szarańczy; czarna, zakrywająca słońce i gwiazdy, armja spadła na ziemię i osiadła na kwiatach i trawie; szybko pełzając, potężni ci wojownicy niszczyli łąki i trawniki; młode gąsienice obsiadły drzewa, wlazły na dachy, gromadami sunęły po ulicach i mostach i w niesłychanej liczbie obsiadły każde drzewo, każdy kwiat, każdy krzew. Po jednym dniu cała okolica była zniszczona: palmy były bez wieńców, lasy były bez liści, gaje puste, trawy i zioła zniknęły.

Tylko jedno stare drzewo oliwne pozostało całe ze swemi ciemnemi, zielonemi liśćmi, pod których cieniem spoczywał Bar Noemi i jego towarzysze.

Na trzeci dzień przestraszony lud z krzykiem po-

biegł do namiotu przybyszów i błagał człowieka, który wyrzekł przekleństwo, aby odwrócił od ich kraju kary niebios, aby nie zniszczył ich ziemi.

Bar Noemi rozżalił się nad spustoszoną krainą i podniósłszy ręce do nieba, modlił się—a po kilku godzinach nadszedł wicher potężny, który porwał szarańczę i poniósł w morze, gdzie wszystko poginęło. Nocny szron zabił młode gąsienice, nim spadły w wodę. Trawy i drzewa niedługo potem znowu zazieleniały i z ludzkich serc znikło pierwsze przerażenie, gdy znikła pierwsza klęska.

A jak bujnie zakwitła znów trawa i kwiat, tak bujnie znów uderzyły namiętności w ludzkiem sercu. Znów u bogato zastawionych stołów ucztują, znów z wieńcami na głowach tańczą i śpiewają i drwią z pięciu ludzi, którzy w mieście Trytona, dalecy od rozkoszy, siedzą samotnie. Wreszcie, gniewni za ich obojętność, rozkazali, aby im jeść nic nie dawano:

—„Jeżeli nic ich z miasta nie wygna, niech ich głód wypędzi".

Gniewem napełniła się pierś Bar Noemiego i jeszcze z ust jego przekleństwo nie wyszło, gdy sklepienia niebios grzmieć poczęły, jakby w posadach swych się waliły, i cały błękit pokrył się czarnemi chmurami i z gniewnych niebios upadł grad, pustoszący wszystkie nadzieje i całą dumę narodu.

Druga klęska znów przeraziła mieszkańców Oceanji i pośpieszyli oddać owoce ofiarne pięciu obcym ludziom, owoce, których dotychczas nie dotykali, gdyż dla Boga były przeznaczone. I poczęli ich błagać, aby i tę klęskę od nich odsunęli.

Na modlitwę prawych ucichło niebo, a gdy zdjął Pan z grzesznej krainy swą rękę, na nowo w sercu wyspiarzy zjawiła się bezbożna pycha. Kobiety z malowanemi twarzami, wyzłocone i brwiami włożyły suknie ze szklanych włókien i biegły ulicami, urągając Bogu i drwiąc z młodzieńców, którzy, w namiocie swym ukryci, nie poruszali się na widok ich wdzięków ułudnych i kuszących.

Na placu, niedaleko od miejsca, gdzie stał namiot cudzoziemców, był wodotrysk z wielką cysterną, gdzie o świcie i o zachodzie słońca przychodziły się kąpać białe postacie dziewcząt oceanijskich, nęcąc nieustannie zmysły młodzieńców.

Ale Bar Noemi zakrył spłonioną twarz jedną ręką, a drugą podniósł przeciw nim ruchem odrazy: ten ruch był przekleństwem.

W jedną noc zmienił się porządek pór roku: w ciepły dzień wiosenny zawył zimny wicher od północy, który całą naturę zamroził. Tam, gdzie nigdy lodu nie widziano, rzeki pokryły się twardym pancerzem, a przestraszeni mieszkańcy ujrzeli spadający z nieba biały puch, który zasłoną swoją pokrył pola, lasy, ulice i domy.

Hal gdybyż raz ucichła ta szalona wesołość. Pierwszego dnia dziw nieznany olśnił mieszkańców, przyglądali się ze strachem i ciekawością śniegowi, lodowi, szklanym soplom. Ale nazajutrz przyrządzili sanki i, zawiesiwszy dzwonki, pędzili po śnieżnych ulicach, z wesołą pieśnią na ustach; włożyli ciepłe, bramowane suknie, z lodu zbudowali przezroczyste pałace, ze śniegu cukrowane potrawy.

Na błaganie Bar Noemiego przeminęła trzecia klęska; na nowo ciepłe słońce wyjrzało, śnieg i lód stopniał i zmienił się w wodę, ziemia na nowo zazieleniała.

Trzecia klęska nie poprawiła grzeszników. Śmieli się z pięciu obcych ludzi i jeszcze wzywali Bar Noemiego, aby im więcej dziwów zrobił, gdyż życie tak nudne, tak jednostajne.

Biada ziemi, gdzie już dzieci mówią o nudach życia.

Bar Noemi jeszcze raz przemówił do nich:

— Mieszkańcy miasta Trytona i wy wszyscy, co w Oceanji mieszkacie, słuchajcie, co powiem i opowiedzcie to jedni drugim. Oto Pan ogłasza wam przez moje usta klęski okropne, abyście się upamiętali i poprawili. W pierwszych siedmiu dniach zamrą wody, w drugich—ziemia, w trzecich—powietrze, aby wszędzie, gdzie życie jest, była śmierć; aby wszystko, co teraz jest u piersi matczynej, w grobie leżało. Po trzech tygodniach staniecie przed Bogiem, który dla dobrych jest dobry, ale dla złych — nieubłagany.

Rozweselony lud wyśmiał te słowa i wykrzyknął szyderczo:

— Rób, co chcesz!

Ciężkie przekleństwo dotknęło naprzód wodę. Jakiś mały, zielony robak pokrył powierzchnię wód niezliczoną gromadą, zatruwając ten miły napój wstrętnym odorem, a każde zwierzę, które tej wody się napiło, w cierpieniach padało wpółumarłe. Ryby, w zatrutej wodzie uśnięte, nawierzch wypływały, a prąd je wyrzucał na brzeg, pokryty szlamem. Wkrótce po-

tem popsuła się woda w studniach: stała się gorzka, słona i budziła odrazę. Pociemniały promienie wodotrysków od szlamu, który naniosły tu przeklęte robaki. Wszystka woda straciła świeży chłód, była natomiast nieprzyjemnie ciepła, tak, że spragnione zwierzęta uciekały od niej i ze śmiertelną boleścią ryczały, podnosząc łby ku niebu. Miały więcej rozumu, niż ludzie. Ci śmiali się z klątwy: kiedy woda zatruta, słodszem jeszcze jest wino. Każdy więc człowiek pił ów podniecający płyn, nawet kobiety i dzieci. Serce człowieka było twarde!

Spadła druga klęska na karmicielkę ziemię. Ciężka prawica Pana ogromem kary przeraziła świat. Suche, twarde otwory rozdarły jej chorą powierzchnię, a od jej wewnętrznego cierpienia, siną pleśnią i żółtym liszajem pokryły się naczynia, mieszkania i gładka kora drzew. Chora, smutna była ziemia: trawa i drzewa rodziły potwory, w słodkich owocach nikt nie widział mięsnej owocni, jadowity robak pożerał ją całą; w ziarnie kłosów osiadł perz; winograd schnie i, więdnąc, na ziemię opada; chlebodajne drzewo zatrutą żywicę sączy i przekleństwo, zamiast błogosławieństwa, rodzi. Chorą i zbolałą jest cała roślinność pod klątwą Boga: tylko człowiek nic nie czuje. O! twarde było serce człowieka.

Po raz trzeci zagrzmiała klątwa nad powierzchnią. Gęste, nieprzejrzane gazy padły na okolicę. Było ciemno, czarno, ponuro. Słońca nie było widać, a dzień był podobny do nocy. Chłodna mgła wytwarzała bolesny kaszel i wstrzymywała oddech. Nie można było chodzić po ulicach, ze ścian spadała jakaś ciecz wil-

gotna, a ciężki, gęsty obłok, który zawsze ponad ludzkiemi głowy w niebo się unosi, upadł na ziemię, pogrążając w swej toni pola i domy: przeraźliwy był to widok.

„Wgórę fletnie, wgórę rogi!
Niech wesoło zabrzmią śpiewy,
Kiedy mgła zakrywa słońce,
Niech pochodnie jaśniej płoną!
Kiedy tuman na ulicy,
Słodszym będzie kielich wina!
Kiedy życie nasze krótkie,
Bardziej śpieszyć nam wypada!
Kiedy śmierć się do nas zbliża,
Więc rozkoszy wszystkich czarę
Aż do dna, do dna wypijmy!"

Oto jaka myśl górowała nad umysłami mieszkańców Oceanji i nikt nie przyszedł prosić pięciu dobrych, aby Boga o łaskę prosili.

Bar Noemi ze smutkiem patrzył na tę szaloną radość, na ten lud, zuchwale pędzący w przepaść, i z goryczą wyrzekł takie przekleństwo:

— Wszystko, co ludziom jest miłe, niechaj wam straszliwem będzie; słodycz niech będzie goryczą, pokarm i napój—trucizną, sen niech wam będzie zmorą; tam, gdzie szukacie wesela, znajdziecie cierpienie; z pocałunków niech wam trąd się wywiąże; uśmiechnięta twarz niech się wykrzywi boleśnie; każda rozkosz niech w was odrazę budzi.

A gdy minęło dni siedm i mgły się rozproszyły, mieszkańcy Oceanji przerazili się, spoglądając na sie-

bie. Wrzody i trąd obsypały im twarz, nosy i wargi popuchły, włos powypadał, ciało się zgięło. Sam Bóg złamał postać tych, których żałował, że stworzył.

Niebo zaś, które tę część świata pokrywało, stało się nadzwyczaj ponure i żółte. Zniknął błękit, zniknęła promienność słońca. Można było na tem sklepieniu burem obliczyć fałdy, jakie układały chmury.

Ale nie było jeszcze dość kary.

Nie miał wszak przyczyny jeden człowiek, aby śmiać się z drugiego. Wszyscy byli jednakowo brzydcy, wszyscy jednakowo straszni — a jednak szyderstwo było jeszcze głośniejsze, śmiech jeszcze wstrętniejszy.

Zwierzęta domowe nie poznawały swych panów i, nagle, te oswojone, przyzwyczajone do miejsca istoty, gromadami opuszczać poczęły miasto i, jakby smutku pełne, ruszyły w góry. Psy i małe, śpiewne, żółte ptaszki uszły na śnieżne wierzchołki. Jakby zmówiły się ze sobą, psy nie szczekały, ptaki nie śpiewały, aby opuszczeni gospodarze nie gonili za niemi.

Miejsca ich zajęły kruki i wilki. Grobowe te zwierzęta, niby za wspólną zgodą, postanowiły podzielić się ciałem ludzkiem.

Bar Noemi po raz ósmy podniósł klnącą swą rękę i smutnym głosem powiedział:

— Niech będzie śmierć!...

I przyszedł wezwany anioł, straszny anioł Maloch-Hamowez, z płomiennym w ręku mieczem, którym tłumy przebija, przed którym ani wysoko, ani nisko nic się nie ukryje i rozpoczął swoją okropną pracę od najmniejszych istot.

Jeden dzień minął i znikł wszelki owad z po-

wierzchni ziemi, tak, jakby nagle nastąpiła jesień, która ich zabija.

Nazajutrz węże i jaszczurki wybiegły ze swych jaskiń, aby zginąć wśród dnia jasnego u wrót przeklętego miasta.

Na trzeci dzień spadły z powietrza skrzydlaki, w konwulsjach zwaliły się z dachów na ziemię, ulice zaległy gnijącemi ciałami. Wilki z przerażeniem ujrzały, jak ich towarzysze kruki umierają, ale nie miały dość odwagi, aby przy ich trupach pozostać, tylko uszły ku bramom i smutne patrzały wokoło, jakby pytając człowieka:„—Czyż tu nikt nie pomoże?"

Czwartego dnia pozdychały te drapieżne czworonogi, padając przed domami ludzi. Nikt nie pozostał na ziemi, prócz człowieka i potworów dawnego świata.

Ale i to jeszcze ich nie opamiętało, nie przerazili się, że są sami na świecie z temi potworami. Wszystkie istoty pomarły, tylko oni i bałwany ich pozostały.

Był jeszcze czas, nie spełniły się dni. Nie wyrzekł jeszcze nad nimi Bóg najstraszliwszego wyroku. Czekali go.

Krwawy anioł śmierci rozpoczął swą robotę nad ludźmi. Jakaś przerażająca choroba szła z miast do miast, ludzie padali bezpomocni, bezsilni. Krótkie były chwile ich życia: dziś dumny młodzian, jutro blada bezduszna mara. Mogił było więcej, niż domów, i miejsca brakło, aby umarłych pochować. — Biada! biada!—grzmiało po całej ziemi. Po kraju szedł płacz i jęki. Ludzie ze drżeniem w prochu się kładli.

Dlaczego w prochu? Czyż w prochu mieszka Pan? Czyż w niebie szukać Go należy? Ach! nigdy oni tam

nie spoglądali, mieli tyle wykutych z kamienia bałwanów i mówili: — „Oto nasi Bogowie. Myśmy ich sami stworzyli".

I nikt nie miał dość odwagi, aby wyrzec: — „Zrzućcie precz z ołtarzy te ziemskie dziwotwory, które są prochem najnędzniejszym; zróbcie miejsce Bogu, który jednym jest Panem!"

Zamiast tego w sercach mieszkańców zapanował strach i przerażenie i z gniewem biec poczęli ku drzewu oliwnemu i rzucali w Bar Noemiego zatrute strzały, wszelkie nań posyłając przekleństwa.

— Ośm klęsk nie poprawiło ludu! Niech klęska dziewiąta go dotknie! — zawołał wysłaniec gniewu Bożego i uderzył nogą w twardą ziemię.

I drżeć poczęła w swych posadach twarda ziemia. Naprzód jęczenie jej zdawało się niby szum oddalony, później, jak turkot olbrzymiego wozu, który pałace depcze i przewraca świątynie.

Powierzchnia ziemi bałwani się, jak wzburzone morze. Najwyższe palmy koronami swych liści całują twarz swej rodzicielki, a wieże i bastjony chylą się u stóp tych budowli, na których szczycie stały przedtem.

Któż zachowa złote pałace? Tysiące kolumn na prawo i na lewo pęka i w kawałach pada na ziemię. Dumna złota kopuła wali się, gniotąc mieszkańców. Olbrzymie kamienie bram miejskich, jedne od drugich oderwane, giną w otwartej paszczy wstrząsającego ducha głębin ziemskich. Śród ruin pałaców leżą rozbite ruiny mostów wiszących. W proch i czerepy zmieniło się to, co było bogactwem i wspaniałością.

W świątyniach zgromadzony lud wobec ruin i klęsk — zapomnienia szuka — i w podniecających sokach bachanaljów tajemnice rozkoszy ostatniej połyka. Nagle lud wspomniał o Trytonie, który był głową wszystkich bałwanów i pobiegł szybko ku jego świątyni.

Ośm ścian świątyni leży na ziemi pękniętych, odwieczny bezmyślnie bałwan siedzi na miejscu, z głową ku ziemi spuszczoną. Siedzi na swym tronie, nieruchomy, jak dawniej, tylko wielkie oczy poczęły drżeć zdziwione, że nastąpił taki dzień okropny.

Lud otoczył potwora wokoło i, głowami bijąc o ziemię, wołał:

— Pomóż, Trytonie!

Potwór poczuł nagle pod swemi nogami drżenie ziemi i tam, gdzie na lewej stronie pod jego skórą łuskowatą widziano zwykle powolne pukanie serca, słyszeć się dało silne uderzenia i potwór wstał z miejsca i, wysoko podniósłszy głowę, wyglądał jak wieża nad tłumem.

Bałwochwalcy wołali z radością:

— Ha, Tryton powstał! Słuchajcie słów Trytona! Tryton będzie walczyć przeciw obcemu Bogu! Pokaż teraz swe oblicze, cudzoziemski Boże, i zadrżyj przed Trytonem, który ma sześć sążni wysokości, a rękę silniejszą, niż piorun.

Te wyzywające okrzyki dobiegły pięciu sprawiedliwych ludzi w ich namiocie. Wtedy Bar Noemi namiot zwinął. Płaszcze włożyli na ramiona, włócznie wzięli w ręce i śmiało poszli, aby stanąć przed Trytonem, w imieniu Wszechmocnego.

Tu zatrzymali ich kapłani i wyrzekli do nich:

— Oto powstał Tryton i podniósł wszechpotężną rękę i wnet otworzy usta, z których wyjdzie głos, od gromu potężniejszy. Wy, obcy ludzie, którzy k ątwy rzucacie, padnijcie przed nim w proch albo czekajcie na jego gniew, który przeciw waszemu Bogu się obróci.

W sercu Bar Noemiego zapłonęły ognie nadludzkiego natchnienia. Wokoło niego tłuszcza stutysięczna, przed nim stał bezkształtny olbrzymi potwór. I wyrzekł do nich grzmiącym głosem:

— Nędzni ludzie! Niemasz dla was ani błogosławieństw, ani klęski! Ani złe, ani dobre was nie poprawi. Najohydniejsze robaki ziemi! Oto dziesiątą klęskę wam zapowiadam, aby zniknął ten, do którego goście się modlili.—Nieforemny potworze! straszliwa istoto! zegnij się przed imieniem Tego, Który cię z prochu złożył i Który cię na nowo w prochobróci. Stań się pastwą panów ziemi — robaków!

Rzekłszy, podniósł swą potężną włócznię i skierował ją ku potworowi.

Ze świstem przeleciała włócznia nad głowami kapłanów i utkwiła po lewej stronie, gdzie pod twardą łuskowatą skórą bije serce bałwana.

Przeraźliwem wyciem wykrzywił twarz swą Tryton, czarną krwią z paszczy zionął i, ogonem bijąc o ziemię, deptał kopytami kamienie pod sobą.

Wobec pierwszego przerażenia ludu Bar Noemi i jego towarzysze cofnęli się, a gdy śród tłumu zrodziła się myśl, aby zabić zabójcę Trytona, Pan wstrząsnął ziemią, między tymi a tamtymi, i wywołał błękitny

ogień i dym piekielny z głębi, i oddzielił jednych od drugich.

Pięciu mężów powróciło znów na jedenaście śnieżnych wierzchołków gór. Bar Noemiego czekała w domu wielka niespodzianka. Żona urodziła mu syna, podobnego do ojca i matki.

Wielka była z tego powodu radość śród mieszkańców gór, gdyż tą drogą Pan im pokazał, że ziemia, na której urodziło się niewinne dziecię, nie pójdzie na zagładę.

Najstarszy wysłuchał z ust Bar Noemiego wszystkich zdarzeń i klęsk Oceanji. Jedenaście śnieżnych wierzchołków nic z tego nie zaznały: było tam ciepłe lato, słońce jasno świeciło, powietrze było czyste, łąki zielone, potoki wesołe, wszystkie zwierzęta i ptaki, i owady radowały się życiem, na drzewach i ziołach kwitło błogosławieństwo. Starzec, usłyszawszy od pięciu ludzi tak okropne wieści, jak najszybciej rozkazał, aby ci, co w dolinach mieszkają, wnet zabrali swoje mienie, swoją odzież, swoje rodziny, swoje zwierzęta i aby przenieśli się na wysokie góry i tu chaty zbudowali. Niebo już samo pomyśli o usunięciu śniegów i o zrobieniu miejsca dla drzew i roślin, które człowiek zasiewa, któremi się żywi.

Tryton jeszcze trzy dni wił się w męczarniach, zanim umarł, kończąc swój tysiącletni żywot.

Trzy dni od gór do gór biegło jedno wycie okropne, niby piorun straszliwy, a na to wycie wyszły ze swych jaskiń potwory pierwotnego świata, których olbrzymie kości dzisiaj podziwiamy.

Wstrząśnięta ziemia zbudziła je z wiekowego snu

i wyszły ciężkie, bezkształtne postacie rogate, gałęziste, ciemnym pancerzem pokryte — wyszły świat przerazić.

— Umarł bóg Tryton! Niemasz więcej boga na ziemi!—wołali rozradowani mieszkańcy wyspy Szczęśliwej.—Tylko na śniegach jeszcze Bóg pozostał! Idźmy tam, zabijmy go! Niech przepadnie!

I we wściekłych rękach zabłysło tysiące mieczów, które Boga znieść miały. I pomieszały się z nimi dziwotworne ichtyozaury, mamuty, megatheria, które kłem i rogiem drogę im ku śnieżystym górom torowały.

W niebo grzmiący ryk zahuczał nad daleką ziemią; wszystko zdawało się zapadać, nawet drzewa i trawy poczęły walczyć z niebem. Liście palmy, zdrętwiałe, wzniosły się ku górze, jak miecze, i wszystkie trawy stanęły prosto, jak bez życia. Rozdarły się szczyty gór i nagle ich spokojne ciała poczęły zionąć płomieniami, dymem i kamieniem, ulatując ku niebu z bezbożnym grzmotem; ziemia w stu miejscach pękła, tworząc brudne moczary i wydzielając gazy zatrute; lasy zagorzały płomieniem i krwawą barwą malowały niebo...

Tylko śnieżne wierzchołki pozostały białe i spokojne.

Kiedy buntownicze tłumy przeklętych ludzi i potwory starożytnego świata wrzawą napełniały tę ziemię, stanął na niebie ciężki, czarny, błyskawic i gromów pełny, obłok, którego ryk zagłuszył ryk potworów i ludzi, i który swemi płomiennemi strzałami roznosił śmierć na tłumy i bił ognistemi wężami trzy dni i trzy noce.

Po drugiej stronie zamieszkały lud modlił się i chwałę Boga opiewał w cieniu swych chat spokojnych i zdaleka tylko słuchał okropnej wrzawy żywiołów.

Na trzeci dzień zamilkło wszystko.

Obłoki rozpłynęły się w powietrzu, a gdy mieszkańcy gór o świcie wyszli ze swych chat, ujrzeli naokoło siebie gładką równinę morza. Ciche, nieme zwierciadło wód na dalekim horyzoncie łączyło się z pustą równiną niebios... Góry, doliny, ziemie, gdzież były, gdzież znikły? Jedenaście wierzchołków gór wytworzyło jedenaście wysp. Razem z całą tą ziemią spokojnie pogrążyli się więcej, niż na tysiąc stóp w głębiny morskie. Ciepłe powietrze niższych warstw atmosfery roztopiło śniegi wieczyste i zrodziło nowe życie i nowe zboże. Na najpierwszej czystej glebie, która tak powstała, na chwałę Boga, na wyzwolenia pamiątkę, zasadził Bar Noemi lipę, pod której cieniem zbudował chatę, a im bardziej rozkwitał zielony namiot, tem liczniejszą była jego rodzina, tem większe błogosławieństwo Boże.

Te jedenaście wierzchołków to wyspy Kanaryjskie.

Z całej Oceanji tylko te góry pozostały. Budowa ich i ich twory świadczą, że te wyspy są tylko resztką świata, pogrążonego w wodzie.

Późniejsze odkrycia z podziwem ujrzały, że na tych pozostałych wyspach mieszka lud osobliwy: postać jego piękniejsza, silniejsza, niż znane narody. Dusza jego czysta i cnotliwa; modli się do niewidzialnego Boga, w miłości jest dziewiczy, w żywocie umiarkowany, z losu swego zadowolony. Umarłych balsamuje i w mogiłach składa, bo zmartwychwsta-

nia oczekuje, zna sztukę i posiada pismo, niepodobne do innych.

Na tych wyspach żyje, obok cichych i szczęśliwych ludzi, dwoje mieszkańców: psy i żółte wróbelki.

Dziwna, że oba te rodzaje zwierząt na wyspach Archipelagu są nieme. Nie moglibyśmy rozwiązać tej zagadki, gdybyśmy nie wiedzieli o Oceanji. Gdy zaś je stąd unoszą, wnet im głos powraca. Małe ptaszki Kanaryjskie, tak łaskawe, miłe, wesołe śpiewaki — w ojczyźnie swojej są bez głosu.

Dla nas znów potrafią one śpiewać tak pięknie, tak mile, jak niegdyś w wielkiem mieście Trytona i niejedno marzące serce, słuchając ich pieśni, jakieś nieznane, niepojęte odczuwa wrażenia.

Zasadzona przez Bar Noemiego lipa dziś jeszcze stoi na wyspie Ferro, przez którą uczeni prowadzą pierwszy południk. Lipa ta ma sto sześćdziesiąt stóp obwodu, dwa tysiące z górą lat życia liczy, pod jej cieniem cały naród odpoczywa. Jak mówią podróżnicy, z gałęzi tego drzewa sączy się para wodna i, ochłodzona, w kroplach spada na ziemię, tak, że wyspie, pozbawionej wody, codzień jej daje poddostatkiem. Mieszkańcy wyspy uważają tę lipę za święte drzewo.

Między Europą i nowym światem dziś jest pusta bezbrzeżna równina morska. Nic nie świadczy, że była tu kiedyś cała, oddzielna część świata.

Platon ją opisał, Solon opiewał, powieści arabskie o niej mówiły, Kartagińczycy nakazali o niej milczeć, ale prawdę wszyscy wiedzieli.

Dziś żagle po niej płyną. Lecz nieraz, gdy cichy

wiatr powiewa, gdy rozsmętniona przyroda marzy o przeszłości, pod wpływem ciepła stają przed oczyma żeglarza dziwne, cudowne widziadła: na błękitnym widnokręgu ukazują się obrazy miast, pałaców z wieżami, połyskującemi na dachach, z palmowemi lasami wokoło. Urocze olbrzymie twory, których nigdzie nie widać na świecie — śmiało unoszą się ponad nieskończoną przestrzenią i grają, skrzą się, weselą, póki zmieniony wiatr ich nie rozproszy i tęskniący żeglarz nie ujrzy znów dokoła siebie nic, jeno nieskończone morze...

KRWAWY ANIOŁ

(z węgierskiego)

Nad Akapulkiem ciemna noc. Ani jedna gwiazda nie błyszczy.

Niebu trudno widzieć, co się dzieje na ziemi.

Ludzie, którzy w miłości i przyjaźni postarzeli się pod jednym dachem, w granicach jednego miasta, których łączyły węzły pokrewieństwa, wspólne wspomnienia i obowiązki, którzy przywykli razem czuć cierpienia i radości, oto porwani zostali nagłem wzburzeniem zmysłów, poczęli wzajemnie wytępienie sobie poprzysięgać i zakipieli krwawą nienawiścią względem tych, którzy im nic złego nie uczynili.

Był dzień św. Eustachego. W świątyni kreolów było gwarno, tak, jakby miało miejsce nabożeństwo. Lecz to nie msza święta brzmiała, nie organów grały struny, to dzika wrzawa wzburzonych mężów głosiła okropne czyny, które wnet się miały ziścić, to dźwięczał jednostajny rytm wojennej pieśni kreolów.

Ludność była niespokojna. Mieszkańcy, widząc tu i owdzie światła w oknach i tłumy, gorączkowo śpieszące do świątyni, mówili do siebie: „Wielka dziś u kreolów uroczystość, ale lepiej, niż karki łamać, spaćby poszli do domów!"

O północy zabrzmiał dzwon zniszczenia. Otwarły się wrota kościoła i rozpoczęła się uroczystość. Z dzikiem wyciem rzucił się sfanatyzowany tłum na sąsiednie domy i, gasząc długo tajoną zemstę, z wściekłością i okrucieństwem mordował tych, u których w oknach świateł nie było.

Światło w oknie było znakiem, odróżniającym domy kreolów, aby ci w czasie grabieży nie rzucili się na domy swych braci.

W kilka godzin potem prawie cała ludność hiszpańska w mieście była wymordowaną. Nielicznym tylko gromadkom udało się uciec, wraz z dobytkiem, na wozach na moczary pobliskie. W mrokach nocy i tych nawet prześladowano, a nawet gdy już w mieście ucichło i gdy dzwony zamilkły, jeszcze wtedy można było słyszeć pojedyńcze okrzyki wrogów.

Jeden wóz zabłąkał się w bezdenne trzęsawiska i zbiegowie w jego głębiach zapadli.

Nagle od strony miasta słyszeć się dały nowe głosy. Były to dźwięki radosne. Kreole w wielu miejscach, na zgliszczach i ruinach, grali, śpiewali, tańczyli.

O drugiej po północy wóz jakiś wjeżdżał na róg głównej ulicy. Siedział na nim w płaszcz odziany mężczyzna, który z podziwem przyglądał się oświetlonym oknom i przysłuchiwał się wesołym dźwiękom muzyki.

Stał przed swym własnym domem, wracał z podróży, i nie mógł pojąć, co znaczą te światła w oknach jego mieszkania, ta muzyka, co przygrywa do tańca.

Podkradł się do okna, z dziwnym smutkiem spoglądając wewnątrz.

Bacznie przyjrzawszy się, znalazł grupę znajomych osób, które, głośno śpiewając, wychylały kielichy wina, z takim szałem rzucały się w wir tańca pod takt jedynej kobzy, jakby radość im rozum odjęła. Wszyscy ci ludzie byli to jego starzy znajomi.

Przybysz, nie wiedząc, co się stało, sądził, że marzy.

Wpadła mu w oko kobieta, która z lubieżnemi ruchami, tańcząc, przechodziła z rąk do rąk, śród dzikiej rozmowy, śmiechów, krzyków i pieśni, wysławiających rozlew krwi ludzkiej.

Przybysz długo nie mógł w niej rozpoznać swej żony. A jednak była to jego własna małżonka.

— Stójcie! — wrzasnął, wchodząc do tego domu orgji i nie wiedząc nawet, co ma czynić i co ma mówić, ale party jakimś żarem wewnętrznym, który dla niego samego był mało wyraźny.

— Stójcie! — krzyknął — powiedzcie prawdę, co wy tu robicie?

Niespodzianie zaskoczeni goście oniemieli z przestrachu. Najmężniejsi pobledli, gdy stanął pośród nich ten człowiek o trupio-bladej twarzy i długo żaden nie śmiał zbliżyć się do niego.

Nie tracąc chwili, przybysz przystąpił ku swej żonie.

Była to piękna, czarnooka, kruczowłosa niewiasta, na której rysach nieszlachetna wesołość wyryła niezatarte piętno.

Mąż, zabijając ją wzrokiem, bacznie spoglądał jej w oczy. Wreszcie zawołał:

— Na kolana przede mną!

Kobieta się nie poruszyła.

— Na kolana, nędznico! — wrzasnął mąż i takim wzrokiem przeszył ją, że schylić się musiała do ziemi.

— Stój, psie!—krzyknęli wówczas ze wszech stron napadający nań kreole i nagle dziesięć rąk porwało męża.

Rozpoczął z nimi walkę; jednemu kark zranił, gdy nagle rzucono go na ziemię i póty go trzymano, póki nie został ubezwładniony. Związali go, w kąt rzucili i stanęli wokół niego.

— Czego chcecie, czemu wiążecie mnie?—spytał mąż krwawemi usty.

— Czego? Spójrz naokoło. Pojmij, co się dzieje. Niemasz tu nikogo: sami tylko kreole! — odrzekł mu wysoki, o morderczem oku, prawie czarny metys, z zimnem okrucieństwem przyglądając się jego męczarniom.

— Jam nie kreol, czegóż chcecie ode mnie?

— Zapytaj się twych sąsiadów, lecz nie został tu żaden, by ci opowiedzieć, gdyż albo zamordowany, albo uciekł z miasta. Co dziś za uroczystość, chcesz wiedzieć? Dziś uroczystość wyrżnięcia Hiszpanów. Tyś także Hiszpan, ostatni w tem mieście. Więcej zginęło. Skoroś ty jeden został, masz swobodę wyboru, jaką śmiercią chcesz umrzeć?

— Czyś ty kat, Basilisco?

— Jam jest oswobodziciel mego ludu.

A po chwili dodał:

— Ej! człowieku, będziesz ty płakać przede mną!

— Co? Ja będę płakać przed tobą? Czyś widział, bym kiedy płakał? Możesz mnie zabić, możesz męczyć, możesz rozedrzeć, dość was tu na to, ale nie ujrzycie łez moich.

— A ja ci powiadam, że będziesz płakał. Wiedz, żem ja jest ten, który żonę ci uwiódł i dla którego ona ciebie opuściła.

— Na nią i na ciebie spada hańba, nie na mnie.

— Wszyscy twoi krewni zabici.

— Lepiej niech na ulicach leżą we krwi zbroczeni, niżby mieli jednem z wami oddychać powietrzem.

— Twój dobytek zniszczony.

— Niechaj Bóg zniszczy tego, co to uczynił.

— Hm! Zdajesz się człowiekiem zimnej krwi, Leonie? — mówił dalej Basiliscol — Miałeś ładną córkę, prawda?

Leon ze drżeniem oczekiwał dalszego ciągu.

— Zwała się Oliva — mówił Basilisco z powolnem okrucieństwem, cedząc każde słowo.

— Co chcesz powiedzieć? — pytał biedny ojciec.

— Ładna była dziewczyna. Mogę to powiedzieć, sam przyznasz. Wszyscy mówili, że była ładna.

— Mów, czego chcesz?

— Taka była jeszcze młoda, a tylu konkurentów już miała. Lecz nie umiała między nimi wybrać, jeden chłopak dzielniejszy był od drugiego. Cóż miała począć biedna? Córka twej pierwszej żony nie słuchała swej macochy. Ja postawiłem jajo kolumbowe. Oddałem dziewczynę piewszemu lepszemu. Szkoda, żeś na wesele się spóźnił.

— Niechaj Bóg krew jego dotknie swą ciężką le-

wicął — wykrzyknął związany i, twarz obróciwszy ku ziemi, zadrżał nerwowo i zajęczał.

— A, nareszciel—rzekł Basilisco. — Oto, patrzcie, jak płacze ten, który płacze pierwszy i ostatni raz w życiu. Płacz, płacz, Leoniel ty zaś, murzynie, zagraj na kobzie, aby łzom jego towarzyszyły dźwięki muzyki.

I ludzie ci rozpoczęli z szyderczym śmiechem pijatykę i, tańcząc naokoło niego, kopali go i bili.

Ale on już nie płakał. Zamknął oczy i nie mówił ani słowa. Przysłuchiwał się orgji i ani jeden muskuł nie drgnął na jego twarzy.

— Wynieście go stąd teraz! — rozkazał Basilisco.

— Połóżcie go na strychu. Postawcie przy nim straż, jutro uroczyście go powiesimy. Dziś pijemy wesele dziewczyny, a jutro jej żałobę... Dobrej nocy, kochany Leonie.

Człowiek został wyniesiony na strych. Drzwi zamknięto i pozostawiono go samego. Spokojnie i nieruchomo leżał na pustej podłodze, jakgdyby nie czuł już ani duszy, ani ciała. Z jakąś rozkoszą i nadzieją oczekiwał godziny śmierci i cieszył się nawet, że już od niej niedaleko.

Pod nim zaś długo jeszcze tańczono i tańczono, wreszcie i tam spać się pokładli, wszystko ucichło, tylko od jego oczu sen uciekał. Myślał wciąż o tem, że wkrótce przejdzie do wiecznego spoczynku.

Kiedy tak leżał, niemy, nie myśląc ani o przeszłości, ani o przyszłości, zdawało mu się nagle, że słyszy jakiś szmer w jednem z okien na strychu.

W ciemnościach nocy ujrzał jakąś białą postać,

która przez ciasny otwór tu weszła i na palcach doń się zbliża.

Senże to, czy jawa? Kroków nie słychać, tylko szept cichutki, od którego więzień zadrżał z radości, usłyszawszy te słowa:

— Ojcze mój, ojcze!

— Olivo!

Człowiek przyglądał się, chcąc widzieć w mroku zbliżającą się córkę. Tymczasem ona rzuciła mu się w objęcia, ucałowała go i ostrym nożem szybko rozcięła sznury, któremi ręce Leona były związane.

— Dziecko moje!—mówił ojciec, ściskając dziewczynę, klęcząc przed nią. — Drogie, jedyne moje dziecię!

— Uciekajmy stąd—mówiła Oliva—cisza na mieście, za oknem wisi drabina. Śpieszmy, ojcze!

Leon, wziąwszy dziewczynę na ręce, ruszył przez otwór na strychu i zszedł po drabinie nadół, wciąż ściskając i całując dziecko.

Na ziemi błyszczało jakieś narzędzie. Była to łopata. Wzięli ją.

— Posłuży nam to do obrony — rzekł ojciec.

— Posłuży do kopania mogiły — rzekła córka.

* * *

Nazewnątrz słyszeć się dał niedaleko jednostajny odgłos kroków. Były to kroki pijanego z radości metysa.

— Pozostań tu! Ukryj się pod ścianą—rzekł ojciec do córki i sam z łopatą w ręku podkradł się ku rogowi domu.

Kroki były wciąż bliższe; Leon podniósł łopatę i czekał. Kreol doszedł do niego i w tej samej chwili z rozbitym mózgiem, bez najmniejszego okrzyku, upadł na ziemię.

Leon zdjął z metysa odzież i broń—włożył ją na siebie i, uzbrojony, wziąwszy dziecko za rękę, ruszył z miasta.

Wszędzie było już cicho, gdzie niegdzie tylko bezmyślne śpiewy przerywały ciszę ulic. Gwiazda poranna lśniła już na czystym błękicie.

Ani ojciec, ani córka nie mówili nic do siebie. Rankiem dojechali do najbliższej wioski. Leon miał tam wielu znajomych. Myślał, że u jednego z nich córkę zostawi, a sam ruszy w drogę, szukać poprawy losu.

Ale mieszkańcami wioski strach owładnął. Żaden nie odważył się wyjść przede drzwi, żaden mu nie ustąpił kawałka izby, ani nie dał kęsa chleba. Wszyscy zamknęli się i prosili, żeby oddalił się gdzie indziej.

Nie byli to ludzie źli, lecz tchórzliwi. Lękali się, że gdy akapulczanie dowiedzą się, iż oni jednego zbiega przyjęli, również ich wymordują lub zniszczą.

Pełen smutku zrozumiał to nieszczęśliwy ojciec i ruszył dalej.

Sześć dni wędrował przez lasy i pola — w nocy, podczas burzy, w dzień — wśród okropnego upału, wciąż nosząc w ramionach swą córkę.

Ona zaś nie pytała o nic, nie skarżyła się wcale. Szóstego dnia umarło biedne dziecię z głodu, nędzy i cierpień moralnych.

Osierocony ojciec czuł, że ten drogi ciężar będzie mu coraz cięższy, że te ramiona, co mu ściskały szyję, już się nie podniosą, że ta główka, co na jego piersi spoczywała, tak zimna! tak zimna!

Wieże Kolumbji widać już było zdala. Przy męczącym pośpiechu około południa doszedł do jakiegoś ludnego miasta.

Właśnie przed bramą było zgromadzenie ludowe. Więcej, niż dwadzieścia tysięcy ludzi zbiegło się, podniesionym głosem o czemś rozprawiając i słuchając z okrzykami gniewu lub zadowolenia oddzielnych, z tłumu występujących, mówców.

Leon wplątał się w tłum i niesłychane rzeczy opowiadał o okrucieństwie kreolów. Wtedy wszyscy zwrócili uwagę na zmęczoną postać obcego, który niósł zwłoki młodej dziewczyny w ręku i który nagle stanął pośród nich, jak mara.

— Skąd wracasz? — pytano.

— Z Acapulco — odpowiedział Leon.

— Ha! — Oto dziwowisko! — wołali ci, co słyszeli odpowiedź. — Oto człowiek, który wraca z Acapulco. Niech wstanie i niech powie, jakie nam wieści przynosi.

W okamgnieniu tłum zebrał się naokół Leona, chcąc od naocznego świadka usłyszeć krwawe dzieje. Wielkie współczucie wyryło się na wszystkich twarzach, gdy ujrzano jego twarz, zbolałą i zapadłą, jego odzież, rozdartą i bladego, jak księżyc, trupa dziewczyny. Głuchy szmer oburzenia, jak odgłos zbliżającego się huraganu na morzu, przebiegł tłum z końca w koniec. A gdy wędrownik spojrzał na milczące morze ludu, twarz mu zapłonęła, nieznany ogień pierś

mu napełnił i czuł, jak święty duch zemsty głowę jego otacza kołem ognistych języków.

— Hiszpanie! — zawołał potężnym, ciężkim głosem. — Wracam z Acapulco, ostatni z tych, którzy się tam Hiszpanami zwali. Dobytek mój zniszczony. Krewni moi zamordowani. Włóżcie żałobę, albowiem i wasi krewni poginęli, jeden tylko skarb zabrałem z sobą, drogą mą córkę. Idźcie, ojcowie, pomyślcie o waszych dziatkach niewinnych i spójrzcie, co zrobiono z mojem!

Wówczas nieszczęśliwy ojciec podniósł na rękach swe dziecię i sam dopiero pojął, że córka mu zmarła.

Dotychczas bowiem myślał, że tylko jest w letargu.

— Umarła! — zawył w okropnej boleści i przycisnął trupa do piersi. — Umarła... — bełkotał, podczas, gdy tłum z szacunkiem i współczuciem stał naokoło niego.

Ten widok wzburzył lud i tak rozwścieczony.

— Do broni! — dał się słyszeć głos męski, który tysiącznem echem odbił się w tłumie.

— Do broni, kto mąż! — wołano, a to hasło z placu pobiegło wnet na ulice.

— Do broni, do broni! — grzmiało zewszechstron i po upływie godziny było dziesięć tysięcy ludzi, gotowych do wojny. Srogość i żądza krwi lśniły na ich obliczach, a serca ich wrzały zemstą przeciwko kreolom.

Wtedy, z nieznanego źródła pochodząca, idea, naprzód, jako słaby szept, potem, jako ślepa żądza,

przepływać poczęła przez wzburzone mózgi. Każdy mówił:

— Jeżeli wyjedziem, to pozostali tu kreole pomordują nasze dzieci.

I z ust do ust szły wyrazy:

— Niechaj pomrą! niech zginą, jak nasi bracia w Acapulco zginęli. Krew za krew! Ojciec za syna! Syn za ojca! Niechaj pomra!

I w szalonej wściekłości tłum powrócił do miasta, a gdy fala przerwała groblę, wtedy, nie słuchając ani napomnień, ani rozkazów dowódców, rzucili się ci ludzie na mieszkania sąsiadów, z którymi od pokoleń w pokolenia żyli w przyjaźni i miłości, z którymi przyzwyczaili się wspólnie czuć radości i smutek — wyrżnęli wszystkich kreolów w mieście.

A stało się to w sześć dni potem, gdy w Acapulco wyrżnięto wszystkich Hiszpanów.

Krew za krew!

II

Leon wziął na ręce zmarłe dziecię, zaniósł je do lasu palmowego, wykopał mu mogiłę pod cieniem młodego drzewa i złożył tam ukochane zwłoki.

A nie śmiał tej białej twarzy pokryć ziemią, ale nazbierał kwiecia gajowego, obsypał niem umarłą, wtedy dopiero czarnej grudy ponarzucał. Później pokrył mogiłę zieloną darniną, jakby chciał serca cierpienie umaić nadzieją.

Po ukończeniu wyjął nóż, aby wyryć na korze drzewa imię tego, który był pierwszą przyczyną nie-

szczęść i śmierci córki jego. Ciął litery gorliwie, a gdy już rzecz była gotowa, przeczytał głośno imię, wycięte na drzewie: Basilisco.

Bowiem nie córka była w jego sercu, ale jej zbójca. Tak więc nie opłakiwać przyszedł swe dziecię, ale plan zemsty ułożyć.

Podniósł się, przestał płakać i, chwiejąc się, poszedł dalej. Był w głębi lasu. Pełen żalu, że tak bez łez prawie grób dziecka opuścił, chciał powrócić i odszukać mogiłę, lecz drzewa tak są do siebie podobne, że nie znalazł miejsca, gdzie córkę pochował. Poszukując tam coraz bardziej, błądzić począł; noc zapadła, on szedł jednak dalej. Dokąd? poco? nie wiedział, ale szedł dalej. Doszedł do obszernego cienistego wzgórza. Przestraszony ptak, ćwierkając, wybiegł z gniazda. Wkońcu Leon, zmęczony, padł na złamany pień drzewny. Gdy się położył, nie miał siły, by powstać. Głowę rzuciwszy na ziemię, życzył dobrej nocy dziecku, śpiącemu w mogile, i usnął. A śnił o ludziach, pływających we krwi, i o miastach, stojących w płomieniach.

Koło północy zbudziło go rżenie koni. Niedaleko od siebie ujrzał dwa osiodłane konie, które głośno pozdrawiały, a z pozdrowieniem ich mieszał się płacz kobiecy i groźna mowa mężczyzny i szczebiot dziecka.

Mężczyzna był niewysoki, lecz smukły, z błyszczącem czarnem okiem, z długą brodą i czarnym, długim włosem, spadającym na ramiona. Twarz miał chudą, lecz pełną energji, znać w nim było żelazne serce. Odzież stanowiło zwykłe, w puszczach noszone, ubranie.

Na ręku miał czteroletniego chłopczyka, którego z poważnem wzruszeniem ściskał serdecznie; chłopczyk nazywał go ojcem i obejmował go słabem ramieniem.

Przy nim młoda, piękna, rozpłakana kobieta.

— Czy umiesz już modlić się, mój synku? — pytał mężczyzna, posadziwszy dziecko na kolanach.

— Umie już, a jakże — odpowiedziała zań żona. Co wieczór i rano modli się.

— Wyrośnij, mój synku, na uczciwego człowieka, nie tak, jak twój ojciec. Na przyszły rok pójdziesz do szkoły nauczyć się czego dobrego.

— Jużem dziecku o tem mówiła.

— Weź go stąd. Gdy dojdzie do rozumu, niechaj będzie w dalekim kraju, gdzie nikt nie wie i nigdy wiedzieć nie będzie, kto był jego ojciec, aby on sam nawet nie znał mego imienia, aby nie wiedział nigdy, że rodzicem jego był Rios Rosas, sławny wódz gierylasów.

— Zapytaj, synu, tatki, kiedy się znów z tobą zobaczy.

— Ach, tego nie wiem, moje dziecię, nigdy dla mnie słońce nie wschodziło tak, abym mógł powiedzieć, że ten dzień do mnie należy. Dziś jestem tutaj, jutro o dziesięć mil dalej, a pojutrze może gdzie pod ziemią.

— Nie mów tak, Rios, patrz, dziecko zaczyna płakać.

— Płacze, że jest moim synem. Niech się modli rano i wieczór, aby go Bóg od nieszczęść uchował.

— Lecz tyś nie zbójca, tyś nie zabił nigdy człowieka.

— Nie uniewinniaj mnie, droga moja. Szakale tylko są mi wspólnikami.

Żona znów płakać poczęła, dziecię razem z nią płakało, zbójca oboje ściskał i całował:

— Wracajcie do domu, kochani moi. Żyjcie spokojnie, nie mówcie nikomu, coście tu widzieli, niechaj was Bóg... tutaj ktoś jest, ktoś nas podpatruje...

Kobieta z dzieckiem wnet się oddaliła, a zbójca skoczył na koń i, podnosząc się na strzemionach, długo słuchał miłego szczebiotu swego syna.

Wtedy zimna jakaś ręka jego ręki dotknęła.

Przestraszony, lecz nie wydając okrzyku, spojrzał zbójca przed siebie i zobaczył nieznajomego mężczyznę. Był to zbieg z Acapulco.

— Nie lękaj się mnie, Rios. Wstrzymaj swój pistolet. Nie ja jestem ten, który ma paść pierwszy z twej ręki — rzekł spokojnym głosem.

— Nie dlatego los dał ci siedemnaście lat w ciągłym żyć niepokoju, abyś zakończył życie, jak zwykły złoczyńca.

— Ty znasz mnie?

— Z imienia. Wiem, że na twoją głowę nałożono cenę. Wiem, żeś prześladowany, że masz słodką żonę i piękne dziecię, które raz na rok tylko widzieć możesz i to ze śmiertelnem niebezpieczeństwem.

— Nie mów o tem. Widzę, żeś nędznik. Chcesz przy mnie zostać rozbójnikiem. Masz tu rewolwer i palnij sobie w łeb, jeżeli nic innego zrobić nie potrafisz.

— Chcę cię oswobodzić od imienia zbójcy.

— Czyś oszalał? Czyżem dość tego nie próbował? Czyżem nie błagał litości u prawa, aby zdjęto z mej głowy swą karzącą rękę? Czy nie przysiągłem, że komukolwiek krzywdę uczyniłem, spłacę go mojem zrabowanem mieniem? Czyżem nie chciał zbudować kościoła za swoje przeklęte pieniądze? Błagałem tylko, aby mi z ludźmi żyć pozwolono, choćbym miał jeść swój krwawy chleb w pocie czoła. Czyż przyjęto cokolwiek? Nie było ofiary, którejbym nie złożył prawu, człowiekowi, Bogu. — Czy chcesz mnie otumanic? Uciekaj, nieszczęśliwy! Jam nie zabił jeszcze człowieka.

— Trzeba, abyś go zabił. W ten sposób spłacisz swe grzechy. Ofiary, których od ciebie prawo, ani ołtarz nie przyjął, pryjmie pole bitwy. Na polu walki znajdziesz wroga. Idź, obmyj w jego krwi twe skalane imię.

— Nie kuś!—zawołał zbójca. — O gdybym mógł na placu boju umrzeć piękną, szlachetną śmiercią!

— A gdybyś tam sławę, zamiast śmierci, znalazł... A gdybyś powrócił i lud, co cię dotychczas pędził z lasu do lasu, gdyby ten lud cię powitał wieńcami, okrzykami radości? I nikt nie powiedziałby o tobie— zbójca, ale każdy mówiłby—bohater.

— Przestań, nie łudź mnie... O gdybym mógł tego dokonać! Sambym pułk wystawił. Takich znalazłbym chłopców, co sto razy śmierć widzieli, sto razy zwyciężali, co słotę i zimno znieść potrafią i co trzy dni i trzy noce z konia nie zejdą, których, gdy

na polu bitwy polegną, świat bohaterami nazwie, a dziś zbójcami nazywa i prześladuje.

— Ja pójde błagać o ciebie.

— Cóż ty masz do mnie? Kto jesteś? Dlaczego chcesz mnie oswobodzić?

— Mam do tego ważne powody. Kreole wygnali mnie z domu, żonę mi uwiedli, rodzinę mą wymordowali; w mieszkaniu mem zasiedli, sam ledwie uciec zdołałem. Córka na drodze mi zmarła, a jam ją w tym lesie pochował. A to wszystko kreole mi zrobili. Czy gdyby ci na nich iść pozwolono, miałbyś litość nad nimi?

— Nie.

— Wiedz zatem, że nie ustąpię, póki świat przeze mnie nie uwierzy, żeś zawsze z kreolami walczył przy pomocy ludzi, którym rozkazujesz. I znów pójdziemy przeciw naszym wrogom.

— Dom z głów wrażych zbuduję, jeżeli mi drogę wskażesz na plac boju.

— Dokonam tego. Przysięgam, że dokonam! Idę do Santa Cruz; po dwóch tygodniach otrzymasz przebaczenie. Gdzież się spotkamy?

— Ze mną—nigdzie. Nie przywykłem o tem mówić nikomu, bo nie przywykłem nikomu wierzyć. Jeżeli prawdę mówisz, idź do Vannos, tam w karczmie siedzieć będzie pomarszczony starzec, myśliwiec bawołów. Siwe włosy jego związane w warkocz, ręki lewej niema, po tem go poznasz. Wnet poprowadzi cię do mnie, tylko mu pistolet pokażesz. Powiem ci nadto, że gdybyś bez tych warunków chciał się od niego dowiedzieć, gdzie jestem, pierwej da się po-

rąbać, niż ci o tem powie. Nie gniewaj się, że cię ostrzegam. Siedemnaście lat jestem prześladowany, ale i ja mam takich, co mnie kochają. Idziesz zatem na prawo w swoją drogę, a ja w lewo. Żegnaj!

Ściąwszy ostrogą wałacha, zbójca puścił się w niesłychanym galopie między bezładne krzaki i drzewa, a pęd jego szybszym był, niż lot jaskółki, i w chwilę potem ledwie słaby oddalony szmer oznaczał tętent galopującego rumaka.

* * *

Po dwóch tygodniach Leon ruszył ku karczmie vannoskiej. W ciemnej izbie siedział przed butelką wina ponury, siwy myśliwiec bawołów. Leon pokazał mu pistolet, na co ten, milcząc, podniósł się z miejsca, wypił wino i poprosił Leona, idąc naprzód i nie mówiąc ani słowa.

Na końcu lasu stanęli przed jakimś budynkiem. Tam wszedł myśliwiec, prosząc Leona, aby się chwilkę zatrzymał. Po małej chwili wyprowadził dwa piękne kare osiodłane konie; jeden przeznaczony dla zbiega z Acapulco, na drugim starzec sam zasiadł.

Wnet galopem pobiegli ku sawannom.

Na drodze myśliwiec się rozglądał.

— Konie te—mówił—należą do Rios Rosas. Niemasz pod słońcem piękniejszych i lepszych koni. Żaden karabiner nie odważyłby się wsiąść na nie, każdego obcego człowieka zrzuciłby z grzbietu, a mogą cały dzień pędzić, niezmordowane, bez jedzenia i picia. Pływają znakomicie, a gdy pan śpi, pilnują

go, jak wierne psy, i budzą go rżeniem, gdy czują niebezpieczeństwo.

Późnym wieczorem przez kręte drogi, dojechał Leon z myśliwcem do sawann. Nigdzie drogi, nigdzie znanego szlaku nie widać. Bujną trawą pokryta równina, gdzie tylko słychać szczekanie zbłąkanego szakala lub sitowiem obrosłe trzęsawisko, gdzie wrzeszczą czerwone flamingi, i znów puszcza, znów równina, na której znać ślady pożaru, co zniszczył życie roślinne na kilka mil dokoła. Zdaje się, że anioł śmierci przeleciał tędy. W oddaleniu, tu i tam, widać leśnych drzew ciemne wierzchołki.

Wreszcie zapadł wieczór, okolica ściemniała. Tylko stary myśliwiec wiedział którędy idzie droga. Z oddalenia bił w oczy jakiś krwawy blask, niby tu i tam rozpalone ognie pasterzy.

— Tam jest Rios Rosas — mówił starzec—pokazując w odległości mili jakieś ognisko.

Po godzinie dojechali do tego miejsca. Zbliżając się, konie zarżały radośnie, a jeźdźcy ujrzeli trzech ludzi, którzy widocznie oddawna już na nich czekali. Szczególny, niepodobny do naśladowania świst z ust starca zaświadczył oczekującym, że jadą znajomi. Sród tych trzech ludzi był Rios.

— Co nam przynosicie?

— Łaskę przynosimy!—krzyknął Leon i, zeskakując z konia, podał Riosowi wielkie zapieczętowane pismo. —Czytaj i raduj się!

Zbójca, zwróciwszy się ku światłu ognia, ze drżeniem rozdarł pieczęć, a gdy czytał, łza mu wciąż z oka

spływała i nogi pod nim drżały, aż upadł na kolana, pocałował pismo i załzawioną twarz podniósł ku niebu.

— Boże mój! Panie, Boże mój! — wołał, łkając z radości. — Po siedemnastu latach prześladowań, pozwalasz mi znów być człowiekiem.

Potem zwrócił się do swych towarzyszy:

— Na koń! zwołać gwardję!

Ci wnet skoczyli na siodła i wkoło po sawannie dał się słyszeć świst osobliwy, a po kilku chwilach zjawiło się przed Riosem blisko dwudziestu uzbrojonych jeźdźców w pełnem orężu, na świetnych koniach.

— Bracia! — rzekł do nich stary dowódca — to, o czem tak dawno marzyłem, zostało spełnione. Nie jesteśmy już zbójcami, albowiem prawo nam przebaczyło. Pozwolono nam za grzechy naszego żywota zginąć uczciwą śmiercią. Czy jest wśród was taki, coby się nie radował bohaterskiej śmierci?

— Niema, niema! — wykrzyknęli wszyscy razem.

— Pójdziecie ze mną na wojnę.

— Wszędzie, na śmierć!

— Przysięgnijcie.

Klątwa była krótka.

— Przysięgamy z radością przelać krew naszą w bitwie.

Leon rzekł do Riosa:

— Niech dodadzą: i nad nikim nie mieć litości!

Przysięgli i na to.

— A teraz powiedz, czego chcesz ode mnie? — mówił wódz do Leona. — Możesz powiedzieć, jesteś jedynym człowiekiem, który Riosowi coś dobrego zrobił. Cokolwiek zechcesz, dokonam.

— Morduj i pustosz tam, dokąd będziesz posłany.

— Powiedz przynajmniej swe nazwisko, abym mógł je żonie i dziecku powiedzieć, niechby modlili się codzień za ciebie.

— Nazwisko zachowam w tajemnicy. Teraz zowię się Leon z Acapulco, abym, ilekroć zostanę tak nazwany, wspomniał, gdzie zostałem zniszczony i że to miasto powinienem spustoszyć i z ziemią zrównać. Nazywajcie mnie Leonem z Acapulco, aby zawsze przy tem imieniu uczucia burzyły się we mnie i abym czuł krwi pragnienie.

— Czy pójdziesz z nami?

— Nie teraz jeszcze. Mam pierwej iść w daleką drogę po licznych krajach i ludach. Kiedy mój los przeklęty się spełni, po krwawych dniach spotkamy się na krwawem polu, gdzie anioły śmierci przybędą z tobą. Nad nikim litości, nad nikim!

To rzekłszy, poszedł w nieznane krainy i długi czas słychać o nim nic nie było. W nieznanych otchłaniach niebezpieczeństw lubował się widokiem ludzi, pływających we krwi i miast, stojących w ogniu.

* * *

W Marattanie obozowała dywizja kirasjerów hiszpańskich, wesołych, ładnych chłopców, dla których mocno biło serce niejednej hiszpanki. A najpiękniejsza z kobiet w okolicy kochała najpiękniejszego z bohaterów—kapitana.

Anna, młoda, piękna wdowa, od pół roku już była zaręczona z pięknym kapitanem; weselny dzień już blisko, jedna noc go jeszcze oddziela.

Tej nocy późnym wieczorem do narzeczonej przybył oblubieniec. Jakże piękną była ta para! Kirasjer był to wysoki, wysmukły mężczyzna, młodość kipiała na jego twarzy, ale nad wypukłem czołem znać było już łysinę—„razem i słońce i księżyc", jak mówi przysłowie. Narzeczona była piękną kobietą o czarnych długich lokach, o bladej nerwowej twarzy, o błękitnych oczach z tym niewymownym blaskiem, jaki tylko w błękitnych oczach Hiszpanek można znaleźć. Gdy milczała, na twarz jej bladą, na czoło marmurowe, na cienkie, delikatne usta tak fantastycznie blask padał z błękitnych oczu, jak od księżyca, gdy o północy przy cichym wietrze wschodzi na niebiosa. A gdy mówiono przy niej o ojczyźnie lub gdy o niej mówiła, wargi jej drżały, jedwabne brwi ściągały się i takie nadziemskie światło lśniło w jej oczach, jakby jedno niebo patrzyło na drugie, pełne gwiazd, pełne aniołów.

A gdy ujrzała narzeczonego, gdy poczuła, że jego ręka drży w jej ręku, wtedy na twarzy jej zakwitła różana zorza miłości, a oczy błysły, jak wschodzące słońce.

Przed weselem wieczorem przyszedł lubą odwiedzić narzeczony. Chce udać wesołość, lecz kochające oko umie czytać w jego rysach, w mimowolnych zmarszczkach na czole i w niespokojnym wzroku poznaje, że luby cierpi.

Białą ręką gładzi czoło, całuje gorącemi usty; niby znikły zmarszczki, lecz znów się pokazały.

— Cóż ci się stało? Jakie twoje cierpienie? W przeddzień wesela jesteś smutny.

— Nie mam żadnego cierpienia, lecz niepokoi mnie wypadek, którego odroczyć niepodobna. Trybunał wojenny skazał na śmierć człowieka. Właśnie teraz podpisałem wyrok, człowiek jutro będzie rozstrzelany. Dlaczego właśnie jutro? Dlaczego w dniu mego wesela? Dlaczego nie o jeden dzień później?

— Czy ten człowiek jest złoczyńcą?

— Prawo wojenne tak go nazywa. Buntował żołnierzy, aby poszli do Kolumbji walczyć z kreolami. Karą za takie knowania — jest śmierć.

— I tyś podpisał taki wyrok? Czyś nie Hiszpan? Czy nie kochasz swej ojczyzny?

— Przedewszystkiem jestem żołnierzem i czczę prawo.

— Niepodobna, abyś ty, który tak szlachetnie umiesz kochać, nie czuł najwyższego rodzaju miłości, miłości ojczyzny!

— Kochać umiem, ale marzyć nie umiem. Z tych zasad, które rewolucję głoszą, nic nie rozumiem. Rzeknę więcej: nigdy z rewolucji nic dobrego nie wyniknie. Dużo krwi, mało sławy, wieczne cierpienie.

— Nie mów wieczne cierpienie. Wieczna nadzieja dla tych, co nie zapominają, że musi nadejść chwila, kiedy wszystko będzie spłacone; cierpienie temu, co je zadał; sława temu, co o nią walczył.

Mówiąc to, kobieta marattańska stanęła przed narzeczonym i, pochwyciwszy w ręce mandolinę, w gorączkowem natchnieniu uderzyła w nią i zaśpiewała gwałtowną melodję patrjotyczną.

W tej chwili dwoje oczu tej kobiety zdawały się

chmurą piorunową, a łzy, oświetlone ich blaskiem, były jak deszcz z błyskawicami.

Narzeczony przystąpił do niej, pocałował; z drżącej ręki wyjął mandolinę.

— Biedny Marattan! — wyrzekł.—Kobiety azteków mają czego płakać. Byłem raz w Kolumbji. W pewnem mieście na jakiejś ulicy dom budowano. Śród robotnic ujrzałem kobietę, noszącą kamienie murarzom. Kilkakrotnie chodziłem tamtędy, a kobieta wciąż w pocie czoła nosiła kamienie, nogi jej drżały. Nie była już młoda, upadała pod ciężarem pracy. Ta kobieta miała kiedyś w Marattanie pałac, piękniejszy, niż ten, dla którego teraz kamienie niosła; często bawiłem w jej domu, wiele wesołych chwil tam spędziłem.

Gdy w południe siedziała przy nędznym obiedzie, podszedłem do niej i zawołałem na nią. Długo poznać mnie nie mogła, wreszcie, wzruszona, płakać poczęła, aż robotnicy śmieli się z jej łez. Ofiarowałem jej pieniądze, dziękowała, przyjęła niewiele — ona, niegdyś miljonowa pani, prosiła, abym więcej posłał jej małej córce, która pozostawała w sąsiedniem miasteczku u jakichś bogatych państwa. Obiecałem, że dziewczynę odszukam. Było to ładne sześcioletnie dziecię, gdym ją widział po raz ostatni miała już lat dziewieć, teraz musi być podlotkiem. Poszedłem do domu, gdzie ją przyjęto. Na moje prośby wyszła dziewczyna — nie to piękne dziecię, którego rysy dziś mi jeszcze przed oczyma stoją—ale zwykłe stworzenie dzikie, o grubych rysach, o błędnych oczach. Nie poznała mię, choć niegdyś tyle razy mię widywała;

mówiłem do niej po alzacku, nie zrozumiała ani słowa. Pytałem się jej o matkę, nie widziała jej wcale. Oto jaki na aztekach dała nam historja przykład tego, czego spodziewać się może naród mały od narodów sąsiednich, czego może spodziewać się od bogini losu. W walce z większemi narodami zginąć musi, a gdyby burzyć się zechciał przeciw Hiszpanom, rząd musi bronić sam siebie.

— Wolny Hiszpan tak nie mówi.

— Anno! twój pierwszy mąż zginął w bitwie na drugi dzień po weselu; jeżeli chcesz, drugi zginie przed weselem.

— Nie chcę! Zgroza spadnie na mnie za moją grzeszną namiętność. Kocham cię więcej, niż ojczyznę, więcej, niż wolność. Żadna Hiszpanka nie mówiła tego mężczyźnie, ty jesteś pierwszym, co to słyszysz. Nie chcę, żebyś się poświęcił; gdybyś zechciał to zrobić, możebym cię wstrzymała, czego żadna Hiszpanka z mężem nie czyniła. Proszę cię tylko daruj życie człowiekowi, którego namiętność była silniejsza, niż twoja. W wigilję naszego wesela, błagam cię o życie człowieka.

— A karność żołnierska?

— Ukarz go inaczej.

— Dwa tylko są wypadki. Człowiek ten podburzał naród, prawo skazuje go na śmierć. Muszę więc albo wyrok spełnić, albo iść zaraz z buntownikiem na Kolumbję. A wiem, co rzekną prorocy ludu; że nigdy już nie powrócę. Sędzia albo karze, albo łączy się ze zbrodniarzem. W jednej ręce mam miecz ka-

towski, w drugiej sztandar buntownika. Wybieraj, który mam podnieść?...

* * *

Wczesnym rankiem, gdy zorza błysła, wprowadzono na plac śmierci skazanego. Kirasjerzy, formując kare, jechali ulicami, nie mówiąc ani słowa, słychać było tylko uderzenia kopyt końskich. Pośród nich na odkrytym wozie siedział kapelan obozowy, złożywszy ręce do modlitwy, a przed nim w czarnej koszuli, z gołą głową, ze związanemi rękami, przysądzony śmierci — Leon.

Wjechali na pole. Właśnie słońce wschodziło. Ranny wietrzyk igrał z pióropuszami kirasjerów i z siwym włosem skazańca. Sprowadziło go z wozu sześciu kirasjerów, zeszli z koni, odciągnęli kurki od karabinów, a reszta otoczyła delikwenta.

Adjutant kapitana rozwinął papier, podniósł go i surowym, bezlitosnym głosem odczytał wyrok śmierci na Leona.

Skazany pochylił głowę, z zamkniętem okiem dał się na plac śmierci prowadzić, zgiął się smutnie, poglądał przed siebie, jakby wciąż słuchając końca wyroku.

Według zwykłej formy żołnierz jeden przystąpił do wojennego sędziego, dał mu kij w rękę i trzykroć prosił o łaskę dla skazańca. Sędzia przy trzeciem pytaniu złamał kij na dwoje i, rzucając go pod nogi skazanemu, powiedział głuchym tonem:

— Niech u Boga łaskę znajdzie.

Na te słowa podniósł głowę skazany, wyprostował się, twarz jego zapałała. Spojrzał na twarze ota-

czających go żołnierzy, na purpurowe obłoki wschodu i mówił z jakąś fanatyczną wzniosłością:

— Dziękuję Bogu! I wam, towarzysze broni, dziękuję za śmierć! Ciężkiem było mi życie, z radością umieram. Straciłem wszystko: majątek, żonę, dziecko. Ojczyzna mi tylko została, ale tam wejść mi nie wolno. Was, towarzysze, niechaj Bóg błogosławi. Tam, za górami może czeka was droga matka, rodzinny cichy domek, słodka narzeczona, drobne dziatki, wierna żona. Tam, za górami, jest wasza ojczyzna. Módlcie się do Boga, abyście w godzinie śmierci nie schodzili do grobu z taką radością, jak ja, który nikogo już nie mam na ziemi.

Po tych słowach skazany padł na kolana i postać jego znów się schyliła.

Żołnierze stali martwi, jak posągi. Sędzia wykonawczy dał znak papierem, trzymanym w ręku. Sześciu kirasjerów z ponurą twarzą podniosło karabiny.

Sędzia znów dał znak papierem.

Nagle z pośród szeregu wyskoczył młody podoficer, jednym skokiem znalazł się obok sędziego, wyrwał mu z rąk wyrok śmierci i, rozdarłszy go, rzucił pod nogi kirasjerom.

W tej samej chwili straszliwy okrzyk rozdarł powietrze i nagle zjawiło się dwieście mieczów na pomoc skazanemu. A nic wśród tego okrzyku rozróżnić nie było można i nic nie można było widzieć wśród kurzawy, podniesionej przez osiemset kopyt końskich.

* * *

Weselni goście już się zebrali. Pan młody w bo-

gatem, złotem szamerowanem odzieniu, panna młoda w sukni z białej mory, ubranej suto koronkami. Jeszcze chwila, a będą mężem i żoną. Lecz ta chwila zdaje się spóźniać.

Pan młody czeka powrotu adjutanta z placu śmierci, przedtem nie chce przed ołtarz przystąpić.

Może być, że kiedy on wypowie wyraz:—„Kocham" — zaryczą kule mordercze, mające zabić człowieka, którego on skazał na śmierć.

Może być, że kiedy sługa Boży błogosławić będzie ich związek, Wszechmocny duch wyrzeknie słowo zemsty nad zabitym.

Lecz adjutant długo coś z pola śmierci nie wraca.

Narzeczony jest niespokojny, a jeszcze więcej Anna.

— Możeby odłożyć wesele — szepnęła lubemu.

— Raczej przyśpieszyć — odrzekł.

Bolesne przeczucie ścisnęło serca obojga.

Adjutant nie wraca. Ubiegły już dwie i trzy godziny! Południe zbliża się, minuty zdają się wiecznością.

Wreszcie na gościńcu dał się słyszeć tętent kopyt końskich. Jeździec znać mocno spinał ostrogą rumaka. Stanął wreszcie przed wrotami. Adjutant zeskoczył z konia, zmęczony, w zakurzonej sukni, z bladą twarzą, z czołem, oblanem potem.

— Pozostań tu!—rzekł narzeczony.—Poseł śmierci niech tu teraz nie wchodzi.

— Nie jestem posłem — rzekł, z trudem oddychając, adjutant.—Wieść, którą niosę, jest stokroć gorsza. Królewska konnica hiszpańska porwała ska-

zańca, który poprowadził ją ku granicom Kolumbji. Oto, co wam przynoszę.

— Konia! — krzyknął kapitan, tracąc panowanie nad sobą, i ruszył ku drzwiom. Ujrzał tam narzeczoną, bledszą, niż zwykle, z okiem, zwróconem ku niebu.

— Na chwilkę tylko, luba moja!—rzekł narzeczony do bladej kobiety; uściskał ją, pocałował i na konia wskoczył.

Koń stanął dęba, nie chcąc wyjść z podwórza, więc go mocno spiął ostrogą. Jeszcze raz się odwrócił, ujrzał lubą w sukni panny młodej. Stała w altanie, powiewała chustką, żegnając go i niby mówiąc:

— Już cię więcej nie zobaczę!..

I nie zobaczyła go już nigdy...

* * *

Popędzili kirasjerzy galopem naprzód, wciąż naprzód ku sinym górom.

Po dzikich lasach, po bezdrożnych stepach, po wzgórzach, po dolinach ciągnęli naprzód ku sinym górom.

Twierdze i wieże miast znikały im z oczu, dźwięczał dzwon wieczorny, rumaki biegły dalej.

Na czele, na bogato osiodłanym koniu, siedział w czarnej koszuli siwowłosy skazaniec i dowodził nimi. Żaden człowiek jeszcze nie chodził po tych ścieżkach nieznanych, po tych moczarach bagnistych, po tych milczących, odwiecznych lasach—a oni biegli naprzód, wciąż naprzód ku sinym górom.

Ku wieczorowi dojechali do brzegu rzeki. Na oddalonych szczytach jaśniały czerwone gwiazdy ognisk

pastuszych. Po za temi szczytami Kolumbja leży, ta rzeka stamtąd wypływała. Stanęli, aby konie napoić wodą, płynącą z ojczyzny.

Póki konie spragnione piły, jeźdźcy zanucili pieśń rodzinną, pieśń tak wesołą, melodję tak miłą:

„Witaj nam, witaj, Kolumbjo droga!
Gdzie w gwiazd promieniach lśni oko Boga,
Gdzie czarnooka, piękna dziewczyna
Wita żołnierza kieliszkiem wina."

Na pagórku stojący strażnik wykrzyknął nagle:

— Ktoś się zbliża!

Można było wdali rozróżnić jeźdźca, którego koń pędził szybciej od wiatru. Długie, zielone wstęgi jego bramowanego płaszcza ulatywały w powietrze, w złotym szyszaku odbiła się zorza wieczorna.

— Kapitan! — wołał każdy.

Kirasjerzy wskoczyli na konie, wyjęli szable, uszykowali się do boju—a gdy kapitan stanął przed nimi, według zwyczaju, broń przed nim prezentowali.

Kapitan, długim biegiem zmęczony, stanął przed frontem, wyjął pałasz z pochwy, spojrzał, chciał zgromić żołnierzy, ale słów mu zabrakło.

Nim wyrzekł słowo, z przedniego szeregu wybiegło czterech młodych oficerów, między nimi najmłodszy, ten sam, który Leona porwał; ten ostatni rzekł:

— Witaj, kapitanie! W dobrej chwili przybywasz. Razem pojedziemy do Kolumbji. Nie namyślaj się długo, zdecyduj się odrazu. Konia twego za uzdę gwałtem pociągniem za sobą. Wiemy, że poszedłbyś

z radością, ale wstydu się boisz, abyśmy nie poginęli. Dlatego też cię siłą zabierzemy. Ale lepiej będzie, jeżeli sam się zgodzisz przystąpić do nas! Wtedy każdemu, który ośmieliłby się dotknąć uzdy, możesz rękę uciąć. Oto ja jestem pierwszy, który się na to odważam. Zrań mnie... nie lękaj się, kapitanie.

Tu podoficer zbliżył się do uzdy konia kapitana, gdy nagle stary wachmistrz skoczył między nich, schwycił konia za uzdę i zerwał mu ją z pyska. Koń nie poruszył nawet głową. Kapitan długo patrzył to na jednych, to na drugich, a pałasz chwiał mu się w ręku.

Za nim osierocona luba, przed nim ojczyzna za górami. Dwie pokusy walczyły w jego sercu.

Głowę pochylił na piersi. Nagle zabrzmiały trąby i bębny, a na głos tej muzyki zarżał i bić począł kopytami ziemię jego koń wojenny. Kapitan podniósł głowę, błysnął mieczem i z natchnieniem zawołał:

— Naprzód! w imię Boże!

Popędzili wnet i skoczyli w wodę z kapitanem dwaj jeźdźcy, którzy mu konia kierowali i znikły w zimnych falach ich lśniące szyszaki.

— Naprzód! naprzód, ku sinym górom!

Konnica długim szeregiem otacza wodza, rumaki parskają, dzielni rycerze, klaszcząc w ręce, śpiewają pieśń rodzinną.

Na czele jeździec, wódz z ponurą twarzą. Myśli o tem, że wciąż bardziej oddala się od swej lubej i że jej obraz wciąż blednie w jego duszy.

Za kapitanem siedzi Leon z Acapulco, w ręku ma narodową chorągiew, twarz jego płonie radością.

Myśli o tem, że jego postać wciąż wyraźniej przed nim stoi.

Wzburzona fala znów gładka. Odwieczny ciemny las przyjmuje gości, tętent kopyt końskich rozbrzmiewa po nocy.

W dalekich, sinych górach słychać trąbę, czerwone gwiazdy pastuszych ognisk promienieją zdala.

Naprzód! naprzód!

III

Rok minął. Na szańcach Acapulco wokół ognia strażniczego trzynastu kreolów czuwa na warcie. Złożywszy nogi na krzyż, siedzą na ziemi, trzymając na ramieniu długie muszkiety. Jeden z nich gra i śpiewa na mandolinie ponurą pieśń murzyńską, a śpiewa tak głośno, że echo po dalekiej pustyni się rozchodzi.

Nagle dał się słyszeć zdala turkot wozu i wesołe okrzyki. Jeden z żołnierzy wiózł na zrabowanym wozie jakąś beczkę. Jeden tylko koń wóz ten ciągnął. Kreole zdaleka towarzysza poznali i radośnie go powitali.

— Coś przywiózł, Pablo? — pytano go wokół.

— Palmowego wina, więcej niż trzeba. Bezpłatnie zabrałem je rozbójnikowi hiszpańskiemu. Wychodził z piwnicy, chciał mi z przed nosa wino ściągnąć, ale mu stanął na drodze, on więc siadł na jednego konia, a ja na drugim tu przyjechałem.

— Nie zabiłeś go?

— Był już prawie zabity. Pół twarzy miał odsiekanej, jednego oka mu brakło, jedną nawet miał rękę. Była to tylko połowa człowieka.

Kreole głośnym śmiechem wybuchnęli na ten dowcip i wnet zdjęli z wozu beczkę i zaczęli bić w czop koło ognia.

Na dnie beczki kredą napisane były słowa: „Leon z Acapulco pozdrawia".

— Niech żyje długie lata! — wołali kreole. Wypijmy wina palmowego za zdrowie tego, który nam je chciał zabrać.

Pili zatem, śpiewając i weseląc się, ile mogli.

O północy straż ujrzała jakiegoś człowieka. Biegł po wałach, lecz niedaleko warty stanął, nie mogąc ze zmęczenia się poruszać.

— Kto jesteś? dokąd idziesz? — pytali żołnierze, zeskakując z miejsca.

— Dajcie trochę wina — błagał zmęczony przybysz.—Jam żołnierz kreolski, uciekłem z obozu Leona z Acapulco. Dajcie pić, bo umrę.

Przybysz był to młody, blady chłopiec. Długo pił z beczki, poczem bojaźliwie powtórzył:

— Uciekłem z rąk Leona z Acapulco.

— Któż to jest?

— Nie słyszeliście o Leonie z Acapulco? — pytał zbieg, zdziwiony.

— Przybywamy teraz z Boliwji, nie wiemy. Co to za djabeł?

— Dobrześ go nazwał djabłem. Nie może to być człowiek. Zginąłby, nim się urodził.

— Mówże coś o nim, może go znamy.

— Trudno powiedzieć, co to za człowiek. Nie będziecie mieli jednej spokojnej godziny, gdy się o nim dowiecie. W jednym dniu, w jednej chwili umie on

być w dwu miejscach w czasie bitwy i zawsze tam, gdzie największy ogień, a jednak żadna kula go nie trafi. Ach! jak mocne wasze wino palmowe, głowa mi ciężyl

— Pij więcej, wnet przyjdziesz do siebie. Mów dalej.

— Nocą rabuje zapadłe wioski, a gdy dzieci wasze śpią, podpala wieś w dziesięciu miejscach, a gdy powrócicie do domu, ujrzycie na ścianach czarnemi literami wypisane słowa: „Leon z Acapulco pozdrawia". Ach! w głowie mojej gore! Pragnę! nie dawajcie mi więcej wina, dajcie wody!

— Mów, jak wygląda? Gdy ujrzymy go, skończy się jego sława!

— Pod Santa Cruz widziałem, jak pędził po płomieniejących ulicach, mordując tych, co uciekać chcieli. Stanął na palącym się dachu, myślałem, że zginie, ale wyszedł cało. Gdyśmy obozowali w Kolumbji, bataljon hiszpański przepłynął wodę, a na czele jego biegła jakaś potworna, półżywa, istota, o jednym policzku, o jednem oku, o jednej ręce, istota, która morduje, pustoszy i pali. — „Jam jest Leon z Acapulco"!—wołał strasznym głosem. Krew mi w żyłach zamarzła.—O przekleństwo! Teraz krew mi taje, teraz pożar, teraz piekło jest we mnie!

Kreole, bladzi, spoglądali na siebie, pokazując mówiącemu beczkę i napisane na dnie wyrazy.

— O przepadnijcie! Cóżeście mi dali? To wino jest zatrute.

To rzekłszy, upadł i w jękach skonał. Pozostali przy życiu kreole w szalonym gniewie, rzucili się na

towarzysza, który wino im przyniósł, i zaraz go porąbali mieczem; później, rozbiegłszy się po wałach, tu lub tam grób znaleźli, umierając kolejno z przekleństwem na ustach. Najsilniejsi rankiem pomarli, życie i śmierć przeklinając.

IV

Rok już minął, a na dwóch wieżach Acapulco wciąż powiewa chorągiew kreolów. Wielokrotnie oblegali Hiszpanie potężne szańce, a zawsze napróżno.

W długich walkach zginął kwiat rycerstwa, okoliczne wsie i miasto spustoszone. Acapulco jedno stoi, urągając szturmom i napadom. Pewnego wiosennego poranku niespodzianie jakiś niewielki bataljon stanął pod szańcami, dwukrotnie ledwie większy od garnizonu fortecznego. Po większej części byli to żołnierze gwardji narodowej.

Kreole z uśmiechem stali na wałach. Znali oni z dawniejszych bitew gwardję narodową. Mała jej cząstka, która pozostała, ledwie ślady wojennej sławy miała na sobie. Byli pewni zwycięstwa.

Lecz ci gwardziści nie byli to szczęśliwi ludzie, którzy, idąc na wojnę, w spokojnej ojczystej ziemi pozostawili domowe ogniska, tęskniące rodziny, których, gdy powrócą, czeka radość i długie życie, których po wojnie uścisną kochające ramiona i powita niewinny szczebiot drobnych dzieci.

Byli to zrozpaczeni, których zgliszcza czekały tylko na miejscu chat rodzinnych i bolesne wspomnienie, zamiast minionego szczęścia. Zaledwie znalazłby się

między nimi taki, który żałoby po kim nie nosił, taki, któremu został krewny ktoś na świecie.

Przeciw zemście takich zrozpaczonych żadne szańce nie pomogą.

Zawrzała walka. Jęk ludzi miesza się w szalony orkan z hukiem armatnim.

Ojcowie rodzin umarłych walczą.

Wszyscy szturmujący byli to prawie starcy, którzy pół wieku już przechodzili. Śmierć im nie straszna; bo żyć poco nie mają.

Na czele ich idzie człowiek krwawy, a w ręku trzyma okropny sztandar. Okropniejszą jest jeszcze jego twarz i postać. Jedną ma tylko rękę, jedno oko. Podwójnie siekał każdego kreola, podwójnie go widział. Jedyną ręką płaci teraz do ostatniej kropli krwi za tę rękę, co mu ją odcięto. Patrzcie, jak ściele śmierć naokoło.

Wysokie są mury twierdzy, ale zemsta ma skrzydła; straszne są paszcze armatnie, ale zemsta nie widzi niebezpieczeństw.

— Tam, za szańcem, stoi mój dom rodzinny, podpalić go, w popiół obrócić!—woła dowódca gromkim głosem. Tam mieszka zabójca mej rodziny! Miecz mu! Niech zginie!

Szańce zdobyte... I oto ujrzał Leon przed sobą upragnionego wroga-Basilisca.

Dzika radość zabłysła mu w oczach, zgalwanizowana twarz jego drgnęła gwałtownie i krzyknął głosem nieludzkim:

— Oto jesteś! Szukałem ciebie! Od roku jesteś ciągle w mych modlitwach. Poznajesz mnie, Basilisco!

Wezwany w osłupieniu zbliżył się do wroga, jakby chcąc spojrzeć w zwierciadło. Pamiętał głos, ale twarzy nie poznał.

Leon i Basilisco byli od siebie o dwadzieścia kroków oddaleni. Ledwie długość miecza ich oddzielała. Wkoło nich latały kule. Śmierć swą kosą przerzedzała szeregi, rowy były pełne trupów, a nad trupami z triumfem biegła zwycięska gwardja hiszpańska. Nagle padli Leon i Basilisco, trafieni wrażemi kulami. Basilisco z zamkniętemi oczyma leżał niedaleko Leona; Leon, chwiejną ręką pomagając sobie, pełznął ku niemu. Kreol wyjął z pod koszuli mały krzyżyk, chcąc go położyć na ustach, które się modliły. Leon wyrwał mu z rąk krzyżyk i precz go odrzucił, wołając martwym głosem:

— Niechaj cię Bóg nie usłyszy!

Metys skonał. Leon, oparłszy się na łokciu, patrzał jak inni giną. Kiedy kartacz jaki łamał tłumne szwadrony kreolów, wydawał piekielne okrzyki radości. Wkrótce miasto poczęło goreć. Leon patrzał, rychło też jego dom pożar obejmie. Wreszcie i tu płomienie się pokazały. Człowiek był zadowolony. A gdy ujrzał, jak z okna domu, stojącego w płomieniach, wyskoczyła postać kobieca na gorejącą ulicę, zawołał radośnie:

— Dobrze, dobrze! niechaj zginie!

I jeszcze długo z dzikiem zadowoleniem patrzał na zmieniające się zgliszcza miasta, gdy nagle kościół zapłonął. Ci, co na dwu jego wieżach ufnie się schronili, znaleźli się nagle w dwu czerwonych pochodniach...

Wtem straszliwy huk podziemny rozdarł powietrze. Więcej, niż sto centnarów prochu armatniego ukryte było w podziemiach kościoła.

W Acapulco nie został kamień na kamieniu.

* * *

Wróć do mogiły, krwiożerczy potworze, wróć śnić pod ziemią swe czyny. Niech trawa zazielenieje tam, gdzie pole krwią się zaczerwieni.

Przeszło już wszystko. Zniszczone wszystko. Zapomniane wszystko.

Niema twego dziecięcia, niema twej występnej żony, niema zabójcy twej córki.

Niech jaskółka gniazdo zbuduje tam, gdzie były zgliszcza i ruiny.

Niech palma zakwitnie tam, gdzie leżały szeregi trupów.

Wszystko minęło...

Znów zbójcą i prześladowanym jest bohater bitew; żelazna ręka prawa pędzi go z lasu do lasu.

W samotnym domu siedzi smutna kobieta i wspomina boleśnie ostatnie słowa kapitana kirasjerów: —„Na chwilę tylko!" Nikt nie wie, co się z nim stało.

Jedynie Leon z Acapulco, szczęśliwy, leży w upragnionej mogile i marzy o słodkiej sławie i o gorzkiej zemście.

BIAŁA DAMA POLSKI*)

Noc. Ludzie padli na senne łoże
Za pozwoleniem wielkiego cara —
Nie śpi jedynie grobowa mara
I gubernator usnąć nie może.

Niejeden czuwa, a śpi w połowie
Patrjota polski, śniąc w tej godzinie —
O czem? O pięknej, wolnej krainie...
Ach, gubernator niech się nie dowie!

Ciszą się nocna rozszemrza pora —
I słychać jeno szyldwachów kroki,
Co się zatrzymać nie śmią — choć mroki —
Pod oknem izby gubernatora.

Z gubernatora sal się rozlega
Jakaś szalona dysząca mowa:
We mgle się nocnej echo jej snowa —
Aż strachem serce każde zażega.

---

*) Rzecz niniejsza osnuta jest na legendzie, mało znanej u nas, a którą Jokai zaczerpnął rzekomo z opowiadań emigrantów albo sam skomponował. Pisane w 1863 r.

„Ha, jakaż w zamek mój weszła dama?
Czyż nie zatrzyma nikt tej kobiety?
Przez drzwi zamknięte — poprzez bagnety,
Nakrzyż złożone — weszła tu sama.

Kto ją przepuścił? Wizja szalona!
Szata jej — całun biały cmentarny,
Na piersi wielki krzyż widać czarny,
Krwawa jej głowa wtył przechylona.

Kto ją przepuścił? Czyż jej się lęka
Serce me? Krew z niej płynie posoką.
Utkwiła we mnie ciemne swe oko —
Na mnie wskazuje biała jej ręka.

Czemu tu wchodzisz w moje komnaty
Bez trwogi żadnej? — Nie wiesz, kto jestem —
Jam śmierć! W grób jednym strące cię gestem.
Ty szydzisz ze mnie! Ha, zgiń za katy!

Znam cię, kto jesteś, wiem — tyś wcielona
Jest dusza Polski — tyś dama biała —
Którą potrójna dłoń mordowała,
A która żyje, choć pogrzebiona.

— Znam cię. Tyś, mimo wrota i warty,
Mych poprzedników w czarne otchłanie
Spędziła! Zjadło trzech obłąkanie;
Teraz ty ku mnie idziesz: — jam czwarty!

Ale w mem sercu lęk nie kołata —
Nieustraszony we mnie się pali
Duch silny. Ramię moje ze stali,
A dusza twarda i lodowata.

Przepadnij z oczu mych w tym momencie,
Zgiń — jako mara. Ja ci tak każę!
Krzyknę, a wnet się szereg ukaże,
Co cię rozszarpie! Przysięgam święcie.

Służba, na pomoc! Czy tej kobiety
Nikt nie wypędzi? Wpoprzek jej drogi
Stańcie! A wygnać ją za te progi!
Hejże, mołodce, hej — na bagnety!

Nędzni! Broń wasza jestże tak biedną,
Że tej nie zdoła zabić podwiki?
Małoż to wasze czyniły sztyki?
Rady nie dacie sobie z tą jedną?

Dajcie mi w rękę broń. Ja ją sam
Zabiję! Mam tu kul dobrych sześć.
Sześć razy umrze. Na cara cześć!
Raz-dwa-trzy-cztery... Ha, próżno gram!"

Każdy strzał, chociaż w widmo ugodzi —
To nowa rana, co się zakrwawia,
To nowa rana, która przemawia:
Widmo nie znika, widmo podchodzi.

Padł na kolana, blady jak chusta —
„Litości! Nie patrz na mnie tak krwawo —
I nie wyciągaj ręki swej, zjawo!
O, niech przemówią nieme twe usta.

Mów! Choć przeklinaj! Rzuć we mnie lęki —
A w piersi miecz mój skieruj mi własny —
Przebij mnie! Tylko swej białej — jasnej —
Ty nie wyciągaj już ku mnie ręki.

O, jakże ciężka — o, jak gorąca —
Twoja umarła ręka ta biała —
O, jakże dręczy! O! jakże pała
Krew, co na głowę tu mi się strąca.

Litości!" — naraz zamilkły słowa —
Milczenia nocy nic nie poruszy —
Szyldwachy błądzą, strwożeni w duszy —
W izbach pałacu cisza grobowa.

Okropny widok ujrzały warty:
Gubernatora umarłe zwłoki,
Biała go dama porwała w mroki.
Trzech było przedtem, a ten był czwarty...

NA BIEGUNIE PÓŁNOCNYM

Znamy pięć części naszego globu, o istnieniu szóstej dowiedzieliśmy się dopiero teraz.

Wiemy jednak bez wątpliwości, że ta szósta część świata istnieje.

Gdzie ona leży? Na biegunie północnym.

Cała część świata pokryta nieznaną roślinnością, zamieszkana przez nieznane zwierzęta, a zapewne i ludzi.

Najznakomitsi uczeni stwierdzają istnienie tej części świata, a żeglarze już więcej niż wiek cały starają się przebić przez pływające góry lodowców i dotrzeć do tej nieznanej szóstej części świata.

Być może, że na biegunie południowym jest jeszcze siódma część świata. Kapitan Maury wzywał rząd Wielkiej Brytanji, aby zorganizować wyprawę do owej krainy i starał się w sposób naukowy dowieść, że poza górami lodów istnieje nowe życie.

Jednakże nie możemy domysłów Maurycego uważać za nic innego, jak za hipotezę. Przeciwnie, mamy wiadomości pozytywne, dotyczące bieguna północnego.

Poszukując tej szóstej części świata, zginęli Franklin i jego towarzysze. Jednakże klęska tych badaczy nie powstrzymała innych: owszem, inni wyruszyli tymże

śladem. Ludzie nieustraszeni i pełni siły woli zaczęli szukać szczątków wyprawy Franklina na lodowych polach. Wdarli się do królestwa zimy wiekuistej, gdzie dotychczas docierali tylko myśliwcy z plemienia eskimosów.

Dwaj żeglarze irlandzcy odkryli pod 77° 49′ szerokości północnej i 115° 35′ długości geograficznej zachodniej kanał Wellingtona, płynący swobodnie śród lodowców — i krańcową *jego wyspę nazwali „Okiem Irlandji"*. — Rosjanie nazwali ten kanał: „Polinją".

Setki śmiałych podróżników zamarzło na tych morzach lodowych; kry uwięziły i znieruchomiły niejeden okręt. Niektórzy zdołali się uratować na saniach, zabierając tylko zapiski i mapy.

Kapitan Bether w roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym drugim zmuszony był porzucić cztery swoje statki w cieśninie Barrow, gdzie zostały wtłoczone w masy lodowe, mało co niższe od gór na lądzie Europy. — Jeden z tych czterech okrętów „Rezolute" oderwał się od pozostałych w momencie, gdy nadeszła wiosna i lody trochę rozluźniły swe kleszcze.

Ten samoistny okręt przez szesnaście miesięcy wędrował po falach północnych — bez żagli, bez sternika, bez kapitana, bez marynarzy, aż dopiero o tysiąc dwieście mil morskich od cieśniny Barrow, w cieśninie Hogarth przytrzymał go Buddington, kapitan okrętu amerykańskiego.

Ten więc, świadomości pozbawiony, okręt umiał sam znaleźć drogę, prowadzącą na otwarte morze — i bezwątpienia musiał przepływać również i „ciepłe morze".

Gdyby ten okręt miał dar ludzkiej mowy! A jednak powiedział niejedną tajemnicę.

Muszle tkwiły całą masą na lewej stronie okrętu. Zapewne wpadł na ławę piaszczystą i — nim wyzwolił się, dzięki falom — muszle się poprzyczepiały u jego boku. Był to rodzaj pokrewny ostrygom, które się żywią roślinami morskiemi. Cóż stąd wynika? Oto na drodze, którą płynął statek, istnieją muszle i rośliny morskie. Innemi słowy, morze tam nigdy nie zamarza.

Jeszcze jedną tajemnicę odkrył zabłąkany okręt. Na jego pokładzie było gniazdo, w którem siedziała bocianica z dwojgiem piskląt. Ptaki te były całe różne od naszych i wogóle od wszystkich, znanych dotychczas, bocianów: miały pierze i czub barwy jasnobłękitnej.

Gdy samica ujrzała ludzi obcych, którzy weszli na pokład jej statku, porwała nagle jedno z bocianiąt i poleciała z niem wgórę. Któryś z żeglarzy chciał do niej strzelać, ale kapitan nie pozwolił. Ptak leciał w powietrzu daleko szybciej, niż nasze bociany, i robił koło dziewięćdziesięciu metrów na minutę czyli dwadzieścia siedem mil na godzinę.

Pozostałym ptakiem zajęli się marynarze, ale mały bocianek nie chciał z ich ręki przyjmować pokarmu. Po upływie trzydziestu godzin matka powróciła. Przez ten czas okręt, wraz ze statkiem, który go holował, przez tyleż niemal godzin płynął na południe. Ptak więc — po należytem obrachowaniu drogi statku — musiał przebyć siedemset osiemdziesiąt mil, zanim zdołał powrócić z najbliższego kontynentu.

Że zaś stanął na kontynencie — tego dowodem

była żaba, którą miał w dziobie i którą spuścił z powietrza na pokład dla swego dziecka. Żaba zaś była nigdzie nieznanego dotychczas gatunku. Grzbiet miała pokryty łuską, jak *Chiton Squamosus*.

Mały bocianek żarłocznie pochłonął żabę.

Po czterdziestu godzinach bocianica powróciła raz jeszcze i znowu przyniosła żabę dla pisklęcia: ale było ono już nieżywe. Żeglarze wypchali martwego ptaszka, żabę zaś pomieścili w słoju ze spirytusem: obie te rzeczy złożyli w muzeum nowojorskiem. Naturaliści, którzy te okazy badali, doszli do wniosku, że są to gatunki zupełnie nieznane, niemniej różne od naszych, jak flora australijska w porównaniu z europejską.

Sądząc z obliczenia lotu ptaka, nieznany kontynent leżeć musi pod osiemdziesiątym piątym stopniem szorokości północnej, a otwarte morze, które do tego lądu prowadzi, zaczyna się niewątpliwie o kilka stopni niżej — i klimat musi tam być ciepły.

Ale skąd owe strefy czerpią gorąco, jeżeli żywe srebro już przy siedemdzesięciu dwóch stopniach nabiera twardości żelaza i może być tak samo kute. Trudności, jakie napotykają podróżni, udający się na biegun północny, są niesłychane i coraz bardziej rosną w miarę przybliżania się do celu podróży. Najśmielszym i najszczęśliwszym z tych odkywców, który też zarazem najwięcej zwyciężył przeciwieństw, jest kapitan Kane.

To, co on przeżył, dotarłszy do osiemdziesiątego stopnia, zdaje się fantastyczną bajką. Kraina ta jest snem uśpionej natury. Zima tam trwa ciągle, lato jest

tylko łagodniejszą nieco zimą. W ostatnich dniach jesieni słońce po raz ostatni zachodzi na widnokręgu i potem przez całe pół roku jest niewidzialne. Nadchodzi noc sześciomiesięczna. Tylko biały całun śniegu i światło księżycowe słabo oświetlają ten mrok, a czasami błyska purpurowa zorza północy. Temperatura wynosi 40° F. niżej zera. Niema tu żadnej rośliny, ani żadnego zwierzęcia. Ani zimorodek, ani koń morski, ani żaden wodorost nie zdoła tu wytrzymać. Człowiek pozostał sam.

Kapitan Kane był tak okropnie sam, że gdy go raz włos załechtał w szyję, z radością sięgnął ręką w tę stronę: przekonany był, że to pchła! Był szczęśliwy, że w tej krainie nicestwa jest jeszcze inne życie, niestety, nawet pchła porzuciła człowieka. Tu zamieszkuje tylko nicestwo. Jak dziwnie zaś przetwarza owe nicestwo przedmioty, które ludzie przywieźli tu ze sobą! Suszone jabłka zmieniają się w kawałki chalcedonu; możnaby je śmiało szlifować i używać na pieczęcie herbowe. Kwaszona kapusta w beczce tworzy rodzaj kruszcu, który trzeba łupać listkami, a w przełamaniu podobnego do perłowej masy. Cukier wygląda, jak zamarzły kauczuk, niepodobna go łamać, ani rąbać, tylko trzeba go piłować. Z masła możnaby, jak z kości słoniowej, rzeźbić figury, a w rozłamie ma ono połysk nadzwyczajny. Mięso staje się najpiękniejszą mozajką marmuru, co do piękna równej florenckiej; żadna siekiera go nie rozetnie. Baryłka oleju, z której zdjęto klepki, staje się kamiennym walcem w rodzaju tych, któremi równają nasypy na żwirówkach.

A wszystko to dzieje się w kajucie opalonej, gdzie przy nieustającym ogniu, temperatura wynosi 34° F. niżej zera. Ludzi, siedzących w tym pokoju, otacza, z własnego oddechu pochodząca, mgła, tak gęsta, że o trzy kroki nic nie mogą widzieć, a jeśli który z nich na chwilę zdejmie czapkę, bucha z niej taka para, jak z półmiska gorącej potrawy. Kto się odezwie głośno, a nie przez zaciśnione zęby, temu z ust, niby z armaty, wznosi się słup dymu, a kto zajęty jest jaką ciężką pracą, tego otacza gęsty obłok pary. Noże i widelce są tak zimne, że kto nie jada uważnie, temu łatwo przywierają do języka, zdzierając zeń skórę. Kto zaśnie, nie zakrywszy sobie czapką oczu, po przebudzeniu nie może ich otworzyć, bo mu przymarzną powieki. Nazewnątrz, nocą, w tej lodowej pustyni temperatura jest jeszcze o 6° niższą. I w te to straszliwe strony, w tę noc, która mrozi krew i odwagę, ośmielili się wedrzeć ludzie, by się zbliżyć do bieguna północnego.

Okręty ich przymarzły, ale oni już naprzód obmyślili przeciw temu środki zaradcze. Zabrali ze sobą sanie, na których znajdowały się łodzie z kauczuku i żelaza, mogące pomieścić po sześciu ludzi. Zdecydowani byli, skoro lody powstrzymają ich statki, na saniach dalszą odbywać podróż, a gdzieby znowu napotkali otwarte morze—siąść w łodzie i dotrzeć do bieguna. Zabrali więc ze sobą sześćdziesiąt psów sybirskich, by zaprząc je do sań, ale już pod 79° szerokości psy rozchorowały się na skurcz szczękowy i wszystkie pozdychały.

Podróżnikom więc nie pozostało nic innego, jak samym wprząc się do sań; nie ulękli się i tego. Przez dwa tygodnie szli z trudem na zimnie 40°.

A gdy doszli do 82° 2′ szerokości, termometr na-

gle podskoczył o 10°. Przedsmak triumfu natchnął ich nową siłą. Nie chcieli znać odpoczynku, nie wytchnęli na chwilę, ale dążyli wciąż naprzód. Termometr wznosił się coraz wyżej, aż wreszcie doszedł do zera.

Tu już było ciepło. Skały, na których stoją, są jeszcze lodem, ale to, co się przed nimi roztacza, to morze, otwarte morze!

I jakby na powitanie odważnych, wznosi się na niebie, barwna purpurą, zorza północna; dokoła wielkiej, ciemnej kopuły rozpryskują się żółte i różowe snopy światła, niby u wielkiego czarnego koła świetlane szprychy; u wierzchołka przecinają one sklepienie niebios i oczom podróżników ukazuje się widok, do którego wzdychali, ale którego nie umieli sobie wyobrazić.

Przed nimi roztacza się morze na trzy tysiące mil kwadratowych. Jak daleko sięga ich oko, morze jest czyste, otwarte i wolne od lodów. W pośrodku, gdzie odbija ciemne jądro zorzy północnej, jest stalowo-modre, dokoła zaś pływa w falach różowego światła...

Morze to, ponad któtem stanęli Kane i jego towarzysze, opasane było dokoła wielkim kręgiem lodowców. Wszędzie skały lodowe, wysokie na sto pięćdziesiąt do stu osiemdziesięciu metrów, ozłocone cudownem światłem zorzy.

Pięćdziesiąt sześć godzin podróżnicy czekali na tym morskim brzegu, przez pięćdziesiąt sześć godzin czuli powiew ciepłego wiatru, co wiał od północnego bieguna i zmuszał skały lodowe cofać się zwolna, ale nieprzeparcie. Z tym wiatrem nie nadpływał im od północy ani kawałek lodu, a więc tam jest świat żyjący, tam jest ciepło.

Ale czemu w swych łodziach nie puścili się oni

na to otwarte morze, tak długo poszukiwane? Czemu nie skorzystali z wioseł, by popłynąć do tej przeczuwanej części świata?

Morze im na to nie pozwoliło.

Było to morze nie takie, jak wszystkie inne, które mają co dwanaście godzin przypływ i odpływ. Odpływ tego morza reguluje inna siła, nie siła ciążenia księżyca, ale raczej inna mocniejsza potęga. Fale tego morza wznoszą się i opadają co godzina z gwałtownością, która nie dozwala puszczać się na nie w drobnej łodzi. Powracające fale nagle o szesnaście stóp podnoszą powierzchnię morza, a wtedy całe ogromne wybrzeże lodowców rozbrzmiewa ich uderzeniem, niby grzmot, staczający się po szklanym dzwonie.

Zdaje się, jakby to ciepłe morze nieustannie roztapiało lodowe pola i pędziło je przed sobą coraz to dalej a dalej...

Tylko okręt Betchera mógłby powiedzieć, jak się dostał na ten kapryśny ocean i gdzie znalazł prąd, którym dotarł do drugiego końca kanału Wellingtona, uniknąwszy rozbicia o brzegi skał lodowych.

Kane musiał się zadowolić widokiem, którego nie zaznał żaden śmiertelny, z przeświadczeniem, że to, czego szukał, istnieje rzeczywiście, oraz skorupami muszel i łodygami nieznanych roślin, jakie morze na brzeg mu wyrzuciło, niby karty wizytowe, które świat nieznany oddaje u bram starego świata.

Ponad morzem krążyły stada ptaków.

Tę zatokę morską uczeni oznaczają na mapach nazwiskiem odnogi Peabody, a kanał, prowadzący do niej, kanałem Kennedy. Punkt, w którym odkryli go Kane i jego towarzysze, znajduje się pod 82° 2′ szerokości północnej, odległy więc jest o niespełna

8° od bieguna północnego ziemi, a że ziemia jest spłaszczona u biegunów, przeto miara stopni jest tam mniejsza. Stamtąd w dziesięć dni może byliby dosięgli bieguna.

* * *

Przenieśmy się myślą w położenie człowieka, który, porwany takim widokiem w gorączkowym śnie wyobraźni, przenika tam, dokąd ni żagiel, ni wiosło, ni zuchwała stopa nie zdołała doprowadzić.

Jak też może wyglądać ten świat podbiegunowy?

* * *

Ziemia jest u obu biegunów spłaszczona: szybsze kołysanie się wahadła dowodzi tego z matematyczną pewnością. U obu biegunów ziemia jest tak płaska, jak pomarańcza u obu swych końców. I wszystkie inne planety ukształtowały się w ten sam sposób. Otrzymały taką formę w okresie, gdy były jeszcze w stanie półpłynnym. Zatem przed okiem człowieka, który stoi na biegunie, roztacza się widnokrąg sześć razy szerszy, niż u nas, tam bowiem ziemia nie pochyla się tak nagle. Wyobraźmy sobie, że u nas z Pesztu mamy tak szeroki widok, że na zachód spostrzegamy Wiedeń z wieżą świętego Stefana, na wschód — Debreczyn, na północ — Koszyce, a na południe — Belgrad; wystawmy sobie, że jak najdokładniej możemy widzieć to wszystko, co leży w obrębie tych punktów.

A ponad tym, rozległym aż do zawrotu głowy, widnokręgiem połyskuje poprzez ciemnobłękitną atmosferę paląca kula o czerwonym odblasku. To słońce.

Całemi dniami słońce świeci tam na horyzoncie, nigdy przecież nie wznosi się nad nim, lecz okrąża cały widnokrąg, a że widnokrąg jest tam dwadzieścia razy większy, niż u nas, przeto wzrok może dostrze-

gać, z jaką szybkością słońce przebiega swą drogę. Tu i owdzie pagórek jakiś zasłania je na chwilę, ale wnet już się z poza niego wynurza tarcza słoneczna. O północy znajduje się nawprost miejsca, na którem świeciło w południe, a w południe, wieczorem i w nocy stoi zawsze na jednej wysokości, zawsze połową swego ciała wzniesione ponad horyzont. Jest to dzień równonocny.

W czasie miesięcy letnich słońce wznosi się w południe ponad horyzont, a nocą zachodzi na godzinę pod horyzont; ale nigdy nie wznosi się nad krąg atmosfery, nigdy tu nie rzuca promieni i nigdy nie wywołuje ciepła. Po większej też części nie słońce tu widać, tylko odbicie jego, spowodowane łamaniem się słonecznych promieni. Świat bieguna północnego jest olbrzymim zegarem, którego wskazówką poruszającą jest słońce.

Słońce jest tu tylko czerwonem, płomiennem zjawiskiem na niebie, tak, jak księżyc, ale nie jest twórczą duszą świata, nie jest duchem, ożywiającym ziemię. Tu ziemia sama jest panem.

Straszna to byłaby myśl przypuścić, że cały ten świat, co jest naszym światem, miałby umrzeć taką, matematycznie obliczoną, bezlitosną śmiercią, jaka musiałaby nastąpić, gdyby nie ożywiało go nic więcej nad stygnący ogień wewnętrzny i martwy promień słoneczny, nie ogrzewający już wówczas, gdy ostygł wewnętrzny ogień. A choćby miljony lat przejść miały, zanim świat ostygnie, przecież raz nastąpić to musi. Obliczono, że za czasów formacji węgla, ciepło ziemi musiało dochodzić 22°, a dziś przeciętne ciepło ziemi wynosi tylko 8°. Ze stopniowego stygnięcia bazaltu obliczono, ile trzeba stuleci, by temperatura obniżyła się jeszcze o 14°, a wówczas czyż

wszystko ma się skończyć? czy ziemia ma umrzeć?

Ziemia mówi: — „Nie, ja żyć będę po wsze czasy!" Ziemia ma własną siłę, niezapożyczoną ani od słońca, ani od sklepienia niebieskiego. Tą siłą jest magnetyzm, to jest jej własna siła i inne planety mają ją również. Że Jowisz i Wenus posiadają własne światło magnetyczne, zdawna dostrzegaliśmy to przez teleskop; polaroskop usunął wszystkie wątpliwości w tym względzie.

Siła magnetyzmu wzrasta w miarę, jak ziemia ostyga. W żelazie rozpalonem niema magnetyzmu, stygnąc dopiero staje się ono magnetycznem. A w magnetyzmie ogień jest silniejszy, niż ogień słońca. W skoncentrowanych promieniach słonecznych pali się diament, ale w ogniu magnetyzmu diament się wytwarza. Wiedzą o tem wszędzie, gdzie użyto oświetlenia elektro-magnetycznego. Czubek węgla, tworzący biegun w ogniu stosu Volty, zamienia się w diament siłą, która krainie północnego bieguna daje życie; ogień — jest to magnetyzm ziemi.

Niezmierny widnokrąg przerywa gdzie niegdzie sterczący pagórek; niema tam piętrzących się łańcuchów gór. Sfalowana równina rozciąga się dokoła. W pośrodku dopiero tej równiny wznosi się wysoko gromada gór olbrzymich, niby grupa olbrzymich wulkanów, co się zbiegła w jedno koło. Strome, gładkie po bokach, połyskujące u szczytów czarną, brunatną i czerwonawą barwą, u wierzchołków — szafirową i fioletową.

Dokoła tego wieńca gór rozciąga się nagi gładki grunt, jakby ziemia złożoną tu była z samego żelaza meteorycznego.

Dookoła tej grupy gór, niby dokoła wyspy, roztacza się wielkie jezioro. Do jeziora wpadają zewsząd,

płynące w całej okolicy, rzeki i strumienie, jakby na dowód, że tu ziemia jest najbardziej wklęsła, że tu jest biegun północny.

Brzegi jeziora są strome — i spadek fal rzecznych wytwarza dokoła urozmaicone wysepki.

Ponad tym wieńcem gór na szczycie nieba — szerokiem promienistem kołem świeci nieustająca zorza północna, korona z tysiąca promieni tęczowych upleciona, już to purpurowo-ognistych, już to blado-złotych. Zorza ta — oto właściwa radjacja magnetyzmu ziemskiego, źródło promieniujące, które rozlewa światło, ciepło i życie. W pośrodku tego koła promieni tęczowych znajduje się wiekuisty punkt czarny, wiekuista noc, w której świeci wiecznie gwiazda polarna i siedem gwiazd Niedźwiedzicy. Dokoła zaś tej nocy i tego wieńca promieni — niebo migota wszystkiemi kolorami: masz tu promienie lazurowe, żółte, zielone, różowe, które w smugach toczą się po niebie i swoim blaskiem zalewają ziemię. Jasne gwiazdy świecą poza niemi.

Cała okolica, aż po kres horyzontu, tonie w falach promieni. Światło słoneczne nie jest tu upalne i nie męczy skwarem, ale ogrzewa łagodnie i spokojnie. W zatokach rzek, wpadających do jeziora, które kołem otacza krainę bieguna północnego, rozkwitają bujne i gęste lasy.

Liście mają tu zieleń jaśniejszą, niż to widzimy w starym świecie; łąki zaś mają kolor odpowiedni do liści owoców na drzewach, gdyż od nich się barwią; mamy więc obszary szafirowe albo czerwone, stosownie do tego czy przeważa jałowiec, czy też jarzębina. Gdzie indziej grunt bywa złoto-żółty od jaskrów i kaczeńców, a czasem drzewa są, jak brzozy,

białe — i wyglądają tak, jakby je obsiadły roje białych motyli.

Jednakże to nieprzejrzana masa białych kwiatów, nie zaś motyle. Wdali zaś od tej równiny, gdzie się sklepiają pagórki, w jedną całość zlewają się wszystkie kolory: pól złotozielonych, łąk szafirowoczerwonych, przepaści rudomiedzianych—a poprzez ten splot kolorów przepływają potoki, w których odbija się niebo i nad których brzegiem kwitną wstęgi białego kwiecia.

Jak lato nie jest tu skwarne, tak zima nie bywa mroźną: jednocześnie prawie masz kwiaty wiosny i owoce jesieni.

Łąki i pola zaludniają zwierzęta, w drzewach się rozlega świergot ptactwa, w wodach pluskają ryby. Wszędzie drga życie.

Ssaki nie są tu barwy jednostajnie płowej, ptaki nie są jaskrawo pstrokate, jak to bywa w naszych krajach. Czworonogi są barw różnorodnych, śród ptaków przeważa kolor biały, bladoróżowy, niebieski i popielaty. Świadczy to o ich łagodnem usposobieniu i o łatwości ich przyswojenia.

A człowiek?

Miałżeby świat, co tyle istot żywych posiada, wyłonić ze siebie człowieka?

Niezawodnie są tam i ludzie, a jeżeli są, to od nas doskonalsi.

Jaką drogą ludzie dostali się do bieguna? Niechaj mi przedtem kto powie, jaką drogą do swych obecnych siedzib dotarli Aztekowie, Czerwonoskórzy, Hotentoci, Malaje i inni? skąd przybyli? i kto ich tam sprowadził?—wtedy i ja mu powiem, jak mieszkańcy krainy podbiegunowej dostali się do swej ojczyzny.

Że jednak ludzie tamtejsi są od nas doskonalsi— wynika to stąd, że ich ród jest bardziej starożytny.

Po twórczym przewrocie epoki pliocenicznej, pierwszym zamieszkałym ziemi kawałkiem musiał być biegun; tam najpierw wystygła ziemia — i gdy na miejscu, gdzie jest dziś Europa, wulkan jeszcze toczył walkę z morzem, gdy Szwajcarja była jeszcze wyspą, cała równina Scytji—dnem morskiem, a Italja—częścią Afryki—wtenczas na biegunie północnym był klimat umiarkowany. A gdy zaraźliwe bagniska, z których wyłaniały się państwa Hellady i Asyrji, suszył dopiero żar słoneczny, który dziś utrudnia pobyt w pampasach Ameryki południowej, wtedy już, być może, uczeni świata biegunowego obliczali, jak to dziś obliczają nasi, co się stanie z ich światem, skoro ziemia z każdym tysiącem lat stygnie coraz więcej: zima jest coraz dłuższa, lato coraz krótsze, a drzewo, źródło ciepła w siedzibach ludzkich, wyczerpie się w lasach od siekiery.

I obliczyli, że na to potrzeba dziesięć tysięcy lat, gdyż owemi czasy biegun również miał i lato i zimę.

Ale gdy ziemia zaczęła u bieguna wystygać, począł tam działać magnetyzm—i zorza północna swem macierzyńskiem ciepłem jęła zastępować słońca. Jednym z dowodów tego faktu jest nachylanie się igły magnesowej w kierunku bieguna północnego.

Ludzie podbiegunowi powstali o dziesięć tysięcy lat przed nami, jak my poprzedziliśmy o dziesięć tysięcy lat mieszkańców wysp. I o ile my mamy niezmierną wyższość nad wyspiarzami, o tyle mieszkańcy bieguna stoją nad nami. Pierwszym ich przywilejem jest starożytność.

Drugim — jest magnetyzm. Potęga magnetyzmu rozciąga się tam na wszystko: na powietrze, rośliny,

zwierzęta. Magnetyzm nadaje dziwną, niemal cudowną siłę żelazu oraz sercu ludzkiemu, które jest rywalem żelaza.

To działanie, wielce prawdopodobne — wyjaśnimy później nieco bliżej. Teraz zaś rozważmy, jak może być ukształtowany człowiek podbiegunowy.

Jest on bezbarwny.

Twarzy jego nie oświeca palące słońce — cera jego więc jest biała, jak alabaster. Rysy jego są niezmiernie delikatne. Włosy od wielkiej ilości barwnika żelaza, zawartego w ich rurkach, są prawie stalowoczarne, z połyskiem niebieskawym. Takież są brwi oraz oczy. Wzrostu jest niewielkiego, ale smukły i giętki; ma wielką, choć dyskretną, siłę. Żywi się wyłącznie roślinami; korzysta jedynie z mleka niektórych zwierząt. Magnetyzm budzi w nim obrzydzenie do mięsa. Wskutek tego mięśnie ma sprężyste. Umysł wesoły. Nie zna choroby.

Język jego jest doskonalszy, niż nasze języki. Na tak znacznej przestrzeni ziemi musiało się naturalnie wytworzyć kilka języków, ale w każdym z nich są pewne tony specyficzne, łatwo uchwytne, zapomocą których ludzie tamtejsi porozumiewają się tak, jak śpiewające ptaki.

Suknie ich są lżejsze od naszych; sukna, futer im nie trzeba, gdyż niema u nich zmiany pór roku. Niema także u nich mody. Bo i poco? O tem jeszcze pomówimy.

Planetą na ich niebie jest ziemia; poczciwa niestrudzona, kochająca na wzór dobrej matki — ziemia staje się dla nich prawdziwem słońcem. Zorza północna, która stale rozświeca ich niebo, ogrzewa powietrze — a magnetyzm ziemi użyźnia ich glebę.

Kiedy my ciągle jeszcze się błąkamy i krążymy

poomacku — oni zaszli w dziedzinie wiedzy znacznie dalej od nas. Przedewszystkiem wiedzą oni, że magnetyzm ziemi jest to jedyna jej potęga własna i niepożyta, zapomocą której wszystko można uczynić.

My już pewne wiadomości o tem posiadamy: wiemy, że gdy puścić w powietrze latawca, przez którego ogon przeprowadzony jest drut metalowy, z ogona tego latawca wyprowadzić można piorunki, długie na półtora metra. Tę tajemnicę znał już Benjamin Franklin.

Mieszkańcy bieguna poszli znacznie dalej. Umieją oni ów, wszędzie obecny, magnetyzm nieba i ziemi w jeden punkt ześrodkować; umieją z niego wydobyć płomień, co zdoła głazy na szkło przetapiać, albo wprawiać w ruch maszyny, bez pomocy ognia i pary; wiedzą też, jakim sposobem w razie potrzeby używać magnetyzm za broń i pewniej trafiać, niż działami Armstronga lub racami kongrewskiemi.

Zapomocą tej swojej nauki doszli oni i do tego, że umieją się unosić nad ziemią. Odkryli tajemnicę latania po powietrzu. Tajemnica ich leży nie w balonach, ale w ruchu—jaskółka nie ma na grzbiecie balonu. Mają oni maszyny, wprawiane w ruch zapomocą elektryczności, a ruch ten wznosi ich w powietrze.

Możność latania w powietrzu i przenoszenia tą drogą ciężarów wywołuje ten rezultat, że niepotrzebne im są bite gościńce, usypiska żwiru, które wymagają niemałego trudu. Natomiast każdy kawałeczek ziemi może być użyty pod zasiew czyto gajów, ogrodów, czy pól ornych.

Dalszy wynik szybowania w powietrzu jest ten, że wszelka wojna staje się niemożliwą[1]). Mieszkańcy

---

[1]) Tak wyobrażali sobie ludzie rezultat wynalazku balonów sterowanych — przed ich wynalazkiem.

krainy podbiegunowej każde wojsko, najdoskonalej uzbrojone, które wtargnęłoby do ich kraju, z powietrza zmusiliby do ucieczki, zatopiliby w morzu, piorunamiby ich zmiażdżyli, a do tego wszystkiego zupełnie im nie potrzebna armja regularna. Nie znają oni sławy wojennej, ani śmierci na polu bitwy; niema tam i inwalidów, niema wdów i sierot po poległych.

I cóż stąd dalej wypływa? Oto, że niema tam ani zdobywców, ani ciemiężców. Któżby zdołał ujarzmić naród, co umie wzlatać ponad ziemię, jak orzeł skrzydlaty.

Nawet niewolnictwo bydła roboczego ustało tutaj zupełnie. Elektromagnetyzm popycha tu pługi, pomaga zwozić zboża, służy za siłę, wprawiającą w ruch zarówno w wielkiem, jak w małem; jarzmo, jako narzędzie bezpotrzebnego barbarzyństwa, zarzucono tam w zupełności.

I przeciw szkodliwym zwierzętom, również przeciw drapieżnym lasów mieszkańcom nikt tu nie posługuje się bronią. Co z nich istniało, to wytępiono, a z zewnątrz nic się tu nie wedrze. Kraj cały otacza przecież mur niedostępny—mur lodowców.

Złoczyńców, rozbójników, złodziei nikt tam także nie potrzebuje prześladować. Cóżby tam kto miał kraść i poco szkody czynić innym? Każdemu ziemia daje wszystko, co mu jest potrzebne. Każdy pracuje i żyje z tego, co sam wyrobi.

Uprawa roli nie jest, jak u nas, grą hazardowną. Zasiane ziarno wschodzi na pewno. Żniwa bywają tam dobre rok rocznie.

Tam ludzie nie występują z chorągwiami i krzyżem w precesjach, by błagać o deszcz, o słoneczne ciepło, ale dokładają tylko ręki i zdobywają sobie deszcz lub promień pogodnego słońca.

Jeśli im potrzeba deszczu, wówczas zapomocą przewodnich drutów zwracają magnetyzm ziemi ku morzom i jeziorom i wyprowadzają z nich obłoki; następnie sprawiają elektryczne starcie wzajemne obłoków tam, gdzie tylko zachodzi tego potrzeba, i tym sposobem odwilża się spiekłą ziemię. Jeśli zaś wegetacji silniejszego potrzeba ciepła, wtedy zwraca się znów elektromagnetyzm do ogniska, znagla go się do silniejszego promienjowania, a wówczas odlegli mieszkańce ziemi widzą naraz wyżej wgórę strzelające światło północnej zorzy i pytają się, zdumieni: — „Co to może znaczyć?...” — Co to znaczy?... oto, że w państwie północnego bieguna teraz właśnie zabierają się do żniw lub do winobrania.

Tak samo wytwarzają sobie noc, gdy roślinom potrzebny jest spoczynek. Wywołana z jezior mgła zasłania światło niebieskie i ziemia zasypia.

A że wszystko to kraj cały naraz wykonywać musi, panuje tam przeto zupełna zgodność. Tam niema zawiści narodowych stronnictw, tam niema sporów granicznych, niema walki lewicy z prawicą, ale panuje wspólne wszystkim uczucie: patrjotyzm.

Tam niema rang wysokich, niema prerogatyw urodzenia. Wszystko żyje z pracy i inteligencji. Rolnictwo jest takąż samą nauką, jak astronomja.

A rząd... O, i rząd jest tam także! I tam on zasługuje najzupełniej na tytuł „Opatrzności”. Bo też nie zajmuje się on tresowaniem swych poddanych na żołnierzy, nie wysysa z nich podatków, nie zagląda im w garnki, nie zalewa ich powodzią przepisów i regulaminów, nie zamyka ich w więzieniach i warowniach, nie formuje zapomocą szkoły ich ducha na własną modłę, zabraniając im nabożeństw, siejąc wśród nich niezgody i szukając zasługi w de-

nuncjacjach, turmach, bazgraninach, nie utrzymuje w szachu synów jednego ludu zapomocą drugiego, nie wydaje rozkazów, kiedy należy pracować, a kiedy odpoczywać, kiedy wolno się cieszyć, a kiedy smucić. Nie, tam rząd nie zajmuje się podobnemi rzeczami, tylko w swej ręce trzyma obserwacje meteorologiczne całej części świata. Stara się wiedzieć o każdem zjawisku powietrznem i magnetycznem; pilne zwraca baczenie na każdy podnoszący się wiatr i zawiadamia o razultacie swych spostrzeżeń całe państwo. Jego zamki to nie fortece, lecz obserwatorja; nie opiera się on na religji państwowej, ale na wiedzy. Rząd ten pozostawił sobie w rękach tylko badanie, udoskonalenie wynalazków, zużytkowanie spostrzeżeń wogóle i szybkie ich rozprzestrzenianie. Praca to niemała i tego tylko domaga się po swym rządzie ludność krainy podbiegunowej.

Skoro wszakże rząd żadnych nie pobiera podatków, z czegóż utrzymać może cały organizm państwowy, z czego opłaca swych uczonych, którzy przecież nie mogą chodzić za pługiem; skąd może ponosić koszty olbrzymich aparatów całej tej meteorologicznej sieci doświadczeń, wynalazków, zakładów wychowawczych, akademij. Rzecz prosta: rząd zajmuje się handlem. Jego własnością są środki komunikacyjne, zapomocą których produkty z jednego końca tej części świata w drugi się przenoszą. Handel jest w usługach państwa. I poza obrębem pasa magnetycznego, rządy znają ten proceder, (patrz monopol tabaczny), z tą jednak różnicą, że rząd magnetycznego państwa nie zakupuje wyrosłego na polu Piotra tytoniu za dziesięć guldenów poto, by go temuż samemu Piotrowi sprzedać potem za sto—ale produkt dany sprzedaje tam, gdzie go nie-

ma zupełnie i zarabia przytem tyle, że nigdy nie popada w deficyt. Oprócz tego, własnością państwa są wszystkie fabryki, kopalnie, wszystkie słowem zakłady, wymagające skoncentrowanej siły; z tego żyje państwo i bogaci się, jak nasi Rotszyldowie, choć nie pobiera listy cywilnej. Tu więc niema giełdowego szachrajstwa, niema bankrutów, niema miljonerów, których zbyteczny kapitał narażałby na szwank ludzką cnotę, czyniąc ją towarem, wytwarzając w kobietach marnotrawstwo, w mężczyznach żądzę; ale też niema i żebraków. Miljonerem jest tu tylko państwo, a biednymi tylko ministrowie.

A jakże wyglądają ich domy? Czy oni wogóle budują domy?

O, i jakie jeszcze! Nasza architektura wydawałaby się tam śmieszną. My zwozimy najrozmaitsze materjały, spędzamy setki rękodzielników, łatamy z drzewa, kamieni, żelaza, piasku, szkła domy, w których koniec końców mamy szeregi ciemnych pokoi, gdzie wiatr przewiewa, a gdy dom taki stoi sto lat, zwie się już niezmiernie starym. W magnetycznem państwie rzecz się ma zgoła inaczej; tamtejsze budowle są całkiem odmienne. Żwiru tam jest wiele, bo go nie używają do budowy dróg; wybrzeża jezior i mórz dostarczają obficie sody. Dlatego też szkło jest tu najpospolitszą rzeczą. Pod wpływem ognia elektro-magnetycznego żwir i soda stapiają się w masę szklaną, a z tej w przeciągu dwóch godzin robi się dom. Jak... Któż z nas w dzieciństwie nie bawił się słomką i mydlinami. Kładliśmy słomkę w mydliny i dmuchali w nią, a wtedy wznosiła się wnet grupa różnobarwnych baniek z pośrodku płynu, baniek, trzymujących się spójnie, a w pośrodku bywała zawsze największa. Mieszkańcy podbiegunowi

robią coś podobnego; wprowadzają wielki aparat, przypominający nasze miechy w płynną masę szkła, i wprędce wznosi się dom, o okrągłych szklanych ścianach, szklanym dachu, z okrągłemi wkoło pokoikami i wielką, w pośrodku kopułą, prawdopodobnie jadalną salą całej rodziny. I cały dom już stoi gotów; dość budującym z jednego pokoiku do drugiego powycinać drzwi. W takim domu zaraz zamieszkać można, bo ściany nie są w nim wilgotne, nie ulegają pożarom i trwają wieki. Oprócz tego, tę jeszcze dla mieszkańców magnetycznego państwa mają zaletę, że szkło, jako izolator, chroni ich nerwy od drażniącego wpływu magnetyzmu zewnętrznego.

Taką jest budowa na wsi, jakkolwiek ściśle rzecz biorąc, o wsiach tu nie może być mowy, bo nigdzie niema dróg, ni ścieżek; każdy dom stoi odosobniony, otoczony ogrodem, jak u nas wille.

Zato budowle stolicy są kolosalne. I tu szkło jest przeważnie materjałem architektonicznym; ponieważ elektryczne maszyny fabryk i obserwatorjów muszą być zabezpieczone od wpływu zewnętrznej elektryczności, olbrzymie przeto ściany budowli powleczone są glazurą z lawy.

Pośrodku stolicy stoi olbrzymi, okrągły budynek, o dwustu wieżach, to dworzec komunikacji elektrycznej; te wieże są to przystanie dla przybywających i wyruszających w świat balonów, które, po sto niekiedy razem połączone, gromadnie, jak stada olbrzymich dzikich gęsi, puszczają się w dalekie drogi poprzez powietrze, które nie jest tak kapryśne i pełne niebezpieczeństw, jak ocean. Strefa podbiegunowa nie zna burz; tam nie wieje muson, tam nie znany jest tornado, tam spieka słoneczna nie sprowadza burz gradowych ani nadmiar elektryczności w po-

wietrzu—trąb powietrznych; tu mrozy lodowej północy nie sprowadzają z sobą burany, ni z żaru pustyń afrykańskich nie wznosi się samum; ład panuje tu w powietrzu, a wiedza ludzka reguluje wichry. W innych miejscach wysokie wieżyce wznoszą się w niebo: to obserwatorja. Na wielkich placach znajdują się olbrzymie szklane dachy, spoczywające na tysiącach bazaltowych kolumn. Są to bazary, magazyny, istne arcydzieła tytanicznej budowy. Szklane kopuły całego olbrzymiego miasta połyskują czarodziejskiemi barwami, w tęczowych promieniach wiekuistej zorzy borealnej.

A z jakichże materjałów są suknie mieszkańców północnego bieguna?... I te również zastosowane są do klimatu. Tam wszyscy, mężczyźni i kobiety, ubierają się w jedwabie. Każde drzewo ma tu osobny swój gatunek gąsienic, które przędzą inny rodzaj jedwabiu: cienkie, grube, najrozmaitszych kolorów; a jedwab działa uspakajająco na nerwy, podrażnione elektro-magnetyzmem. Jest on tam tak powszechny i w takiej obfitości, że zastępuje wszystko inne, do czego u nas używa się lnu, konopi, owczej wełny i bawełny, papier nawet zastępuje się tu jedwabiem.

A więc tam piszą również i drukują?... O tak! piszą i drukują. Ale nie tak, jak u nas, gdzie rzecz, napisaną przez jednego, dziesięciu innych składa pojedyńczemi literami; oni oddawna już wyszli z tych powijaków, umieją wprost z pisanego oddrukowywać.

A więc muszą mieć i poetów, i dramaturgów, co tworzą sztuki sceniczne, mają przedstawienia teatralne. O, i tych im nie brak! ale tu aktorzy są poetami zarazem; tam śmiesznemby się wydało, co u nas jest powszedniem, że sztukę, napisaną przez jednego, dziesiątki innych, wyuczywszy się tekstu napamięć, od-

grywa przy pomocy suflera. Tam dyrektor opowiada aktorom treść sztuki, rozdziela między artystów role, a forma dramatu, poezja, powstaje w oczach widza, nie z ust suflera, ale z twórczego natchnienia artysty. Tam nawet na sejmach nikt nie miewa mów wyuczonych.

A może są i śpiewakami?... I jakimi jeszcze! Głos ich obejmuje skalę półtrzeciej oktawy, jest metaliczny i dźwięczny. Nigdy z nich żaden nie miewa chrypki. Pieśni ich pełne są uczucia, słuch nigdy nie myli, a śpiewak jest zarazem kompozytorem, któremu namiętność, wrząca w piersi, a nie nuty, dyktuje melodję. Szklane ich instrumenta dziwny jakiś, nadziemski czar nadają tamtejszej muzyce.

A jakże musieli nas wyprzedzić w wiedzy wszechświata! Podczas gdy nasze huty, przy bezsilnym ogniu, nie mogą nawet dać nam refraktora, któryby księżyc, oddalony przecież tylko o pięćdziesąt tysięcy mil, zbliżył tyle, by na nim można było rozpoznawać przedmioty wielkości człowieka — oni, zapomocą ognia elektrycznego, który może się potęgować do nieskończoności, stworzyli olbrzymie zwierciadło powiększające, w którem Syrjusz wydaje się tak wielki, jak u nas słońce w południe, a mgławice zmieniają się w nowe systemy słoneczne. Zapomocą tych olbrzymich zwierciadeł powiększających widzą oni bliższe nas planety, zaludnione takimiż samymi ludźmi, takiemiż samemi polami pokryte, jak nasze pola, oni, co życie, poczęte tutaj, widzą predłużonem na sąsiednich planetach, wedle miary zasług i stopnia doskonałości. — Tacy ludzie czyż potrzebują hierarchji kościelnej, czyż potrzebują księdza, coby im mówił o nieśmiertelności?...

Oni nie „wierzą" w istność Boga, w śmiertelność,

w zagrobowe życie; oni „wiedzą", że wszystko to istnieje.

Potrzebaż tam więc zachęcać ludzi do cnoty, pilności, wierności, dobroci?

— Nie! U bieguna północnego niema duchowieństwa.

Sama już ziemia ułatwia im pozyskanie nieba.

Wpływ magnetyzmu nietylko rozciąga swą cudowną moc na ziemię i niebo, ale na wszystko, co się między niemi znajduje. I serce ludzkie również jest nią przeniknione.

Rozgrzany światłem północnej zorzy, człowiek miłuje prawdę, jest szczerym i dotrzymuje danego słowa; wesołość nie jest u niego wynikiem odurzenia, namiętność jego jest płomieniem czystym, wolnym od sadzy i popiołu; dumny jest ze swego honoru i strzeże go bacznie; znajduje rozkosz w pracy, cieszy się szczęściem innych, bez najmniejszej przymieszki zazdrości; smuci się ze smutnymi, czuje całą swą wartość człowieczą; czci tego, co go przerósł duchem; jest wrażliwy, nerwowy i z tego powodu otwarty; nie zna zatwardziałego gniewu, ma skłonność do żartów, umysł rzutki, jasny; nie mści się doznanej obelgi. U północnego bieguna nikt się nie pojedynkuje.

Nareszcie miłość jest tam prawdziwa. Jeśli spotkają się dwa duchy, dwa serca, nie rozstają się już nigdy i nic ich nie rozłącza, procz śmierci. Taką jest miłość u bieguna północnego.

Tam niema ani niewierności, ani modnych dramatów, których tematem zdrada. Nikt tam nie pragnie dla innych być pięknym, tylko dla przedmiotu swej miłości.

To też ludzie podbiegunowi żyją niesłychanie dłu-

go, bo długo są szczęśliwi. Choroby, epidemje nie czynią wśród nich spustoszenia. Tam ziemia nie może być chora, jak u nas podczas cholery, ani powietrze nie bywa zaraźliwem, jak u nas, gdy tyfus panuje; niema tam zaziębień, bo niema też nagłych zmian powietrza; ludzie umierają tylko z osłabienia, spowodowanego wiekiem. Tym samym przywilejem cieszą się i zwierzęta i ptactwo: nie chorują nigdy, umierają zaś wówczas dopiero, gdy już nadszedł kres ich życia. Rejestr chorób zwiększyli ludzie naszego świata przez własną swą winę i, coraz to dłuższy, przechodzi on na potomków dziedzicznie.

A więc tam niema i lekarzy.

Starość zaś rownież tam nie jest taką, jak u nas; namiętności, nędza, boleści, choroby, wybryki, nadużycia są tam rzeczą nieznaną: stąd twarze nie bywają tak poorane, włosy tak wyblakłe, jak u nas. Życie gaśnie tam, jak lampa, gdy w niej zabrakło oleju.

Ale gdy ludzie żyją tak długo, gdy ni zarazy, ni wojny nie zmniejszają ich liczby, czyż nie jest ich za wiele w odgraniczonej przestrzeni?

Tu należy nam wziąć pod uwagę, że rodzaj szlachetny nie bywa nigdy zbyt płodny; następnie, że owa część świata stopniowo się rozprzestrzenia.

W miarę, jak chłodnieje skorupa ziemi, wzrasta promieniowanie magnetyzmu, a od tego promieniowania topnieje coraz więcej ów pas lodowców, co biegun otacza.

Ciepłe morze podbiegunowe podmywa jego brzegi, a ciepła ta fala wdziera się coraz to dalej, pozostawiając poza sobą ląd coraz większy, który wnet okrywa się roślinnością i zaludnia.

A ten pas lodowców, wciąż naprzód popychany, zbliża się coraz to więcej do stref znanego świata

i coraz bardziej je naciska. Nasz grunt zapada się coraz głębiej. Azja Środkowa dziś już znacznie niżej leży od powierzchni oceanu Spokojnego, tylko strome jej brzegi bronią jej jeszcze od zalania i obliczono już, że za dziesięć tysięcy lat ostatnie góry Francji wznosić się będą, jako wyspy, z głębi morza Śródziemnego. Niedoskonały rodzaj ludzki, co znany dziś świat zaludnia, coraz bardziej party w strefy gorące, tam będzie się skupiał i cisnął i gdy wówczas staczać pocznie boje o ostatniej ziemi kawałek, sam się wzajem wytępi.

Franklin, Kane, Makintosh, Kennedy i inni śmiali żeglarze, co wypłynęli poto, by przez lodowce przedrzeć się do przeczuwanego nowego świata, obrachowali, że ten podwójny pas lodowy zczasem tak nas ściśnie i wyprze z powierzchni ziemi, jak niegdyś inna jakaś katastrofa wyparła świat mamutów. My zaś nie możemy przedrzeć się przez pas lodowców i wkroczyć do państwa magnetycznego.

Czy tamci mieszkańcy wiedzą co o nas?

Zdaje się, że wiedzą.

Jakże jednak mogą o tem wiedzieć, skoro nigdy nikt z nich nie był u nas.

Znowu przez elektro-magnetyzm.

Gdyby przed pięćdziesięciu laty ktoś był powiedział, że przyjdzie czas, w którym mowę tronową, o dwunastej w południe wypowiedzianą w Londynie, tegoż samego dnia o drugiej w południe, słowo w słowo, czytać będą w Peszcie, Petersburgu, Konstantynopolu, a tegoż samego dnia jeszcze z tamtej strony oceanu, w Ameryce, temu powiedzianoby:—„Szaleniec z ciebie!"

A gdyby ktoś przed trzydziestu laty był powiedział, że wynalezionym zostanie aparat, w który, gdy

się włoży arcydzieło Benevenuta Celini, owoc jego półrocznej pracy, po chwili wyjmuje się kopję, tak podobną do oryginału, że z trudnością przyjdzie je od siebie odróżnić, to poprostu powiedzianoby mu: — „Bredziszl"

A jednak to wszystko dziś już istnieje. Elektromagnetyzm dokonywa cudów.

Nie miałżeby ten elektro-magnetyzm równie potężnego wywierać wpływu na mózg ludzki, jak go wywierają miedź i cynk... Czyż w mózgu, przejętym jego siłą, nie może zabłysnąć nagle samowiedza istnienia innej części świata? Czy nie może on wywoływać na nim galwanoplastycznego jej odbicia?

— „Szaleniec z ciebie!" — zawołają jedni.— „Bredziszl" — powiedzą drudzy. Wołajcie tak, wołajcie, panowie i panie!

Skoro więc nasi pokrewni wyższego rodzaju znają nas tak dobrze, dlaczegóż do nas nie zejdą? Im przecież nie jest przeszkodą pas lodowców, boć oni umieją wzlatywać w powietrze. Czemuż więc nie zlecą do nas, czemu nas nie podbiją pod swe panowanie?..

Bo my im się nanic przydać nie możemy.

Cóż oni poczęliby z nami? Co robiliby z naszą krwią zatrutą, w której tkwi posiew wszystkich chorób, co z naszemi spaczonemi pojęciami, z naszą wstrętną nienawiścią rasową, co robiliby z chciwą żądzą złota, z naszą egoistyczną miłością, naszą śmieszną pychą, naszą szaloną modą, z fanatyzmem naszych religij, z wieżą Babel naszych różnorodnych języków, z miljonami uprzywilejowanych morderców, z naszemi ludami, które stoją wiecznie pod bronią, z naszą nagą nędzą, z naszem rozrzutnem bogactwem, z naszym ciemnym ludem, z sanhedrynem naszych zarozumiałych uczonych, z ohydą naszych krwawych

uczt, naszych ogłupiających napojów, z naszą próżną ambicją, z naszemi sporami o to, co „twoje lub moje“, z naszemi niesłusznemi prawami, z niesumiennością naszych sędziów, z naszą hulaszczą młodością i podagryczną starością, z naszem rolnictwem, co udręcza zwierzęta, i z naszą sprawiedliwością, co udręcza ludzi, z całą masą naszych więzień, szubienic, rozkoszy, nabywanych za pieniądze, pięknościami o fałszywych włosach, z armją naszych księży i doktorów, adwokatów i generałów, z naszymi dziennikarzami i ministrami, z naszymi możnowładcami i niewolnikami? To są nasze doskonałości! Cóż oniby z tem poczęli?

Naco mogliby nas zużytkować?

Jeśli wiedzą coś o nas, to niezawodnie nas żałują i spokojnie patrzą, jak los nasz się spełnia.

Do nich należy przyszłość!

Państwo bieguna północnego coraz szerzej się wzrasta, coraz się bardziej rozprzestrzenia; światło, ciepło bieguna północnego oświeca i ogrzewa coraz to większą przestrzeń; lodowe lasy z północy i południa coraz bardziej odsuwają się od biegunów, ziemia wyziębia się coraz więcej, a przeciętna temperatura lata zbliża się coraz bardziej do punktu zamarzania.

Aż wreszcie dojdzie do tego punktu. Węgiel się wyczerpuje, lasy już wytrzebiono, a żaden sztuczny ogień nie daje nam ciepła.

Ale, w miarę, jak wystygają wewnętrzne jej szychty, wzrasta siła elektro-magnetyczna ziemi, a gdy ją opuści słońce, które i tak zawsze się z ziemią obchodziło po macoszemu, wówczas zaświeci ona własnym blaskiem, złocąc dokoła niebo snopami swych promieni, otaczając ciepłą atmosferą wiecznie szczęśliwe ludy—a wtedy ludzkość zostanie „jedną owczarnią“, której przewodzić będzie „jeden pasterz”—Bóg.

W uzupełnienie powyższej fantazji zamieszczamy tu urywek, drukowany ostatnio w „Kurjerze Porannym" z dn. 23/X-1925.

WYPRAWA PO ODKRYCIE SZÓSTEJ CZĘŚCI ŚWIATA

Dzienniki niemieckie przynoszą sensacyjną wiadomość. Znany berliński geolog, Krüger-Bentsheim, zorganizował poważną naukową wyprawę, która za dwa miesiące wyruszy na poszukiwanie... szóstej części świata. Tą szóstą częścią świata nie jest oczywiście legendarna Atlantyda. Szósta część świata jest równie poważna, jak sama wyprawa. Chociaż ogół o niej nic nie wie i chociaż nikt ze znanego nam dotychczas świata na oczy jej nie oglądał, jednak nawet zaznaczona już jest na mapach uczonych.

Jeszcze przed szeregiem lat badacze, jak powiadają — „ołówkowo" wykryli tę szóstą część, podobnie jak dawniej jeszcze „ołówkowo" stwierdził istnienie planety Neptuna francuski astronom Levierrier. Rzecz polega na tem, iż, wciąż zdaniem uczonych, pewne charakterystyczne zbaczania prądów na Atlantyckim oceanie, wypływających z wód między Norwegją i Grenlandją, mogą być wytłumaczone tylko tem, że od północnych wód Alaski aż do bieguna rozciąga się wielki kontynent, nikomu z nas jeszcze nieznany i stanowiący właśnie ową szóstą część świata. Dodać należy, że już w roku 1911 geofizyk amerykański, profesor Harris próbował dotrzeć do owej części świata, lecz musiał przerwać wyprawę w połowie drogi. Obecnie niemiecki uczony obliczył nawet dokładnie obszar tajemniczego biegunowego kontynentu. Obejmować ma on 1.300.000 kwadratowych kilometrów.

W wyprawie, która po dwumiesięcznym okresie przygotowań, wyruszy przedewszystkiem na północne brzegi Grenlandji, obok organizatora weźmie udział jeszcze ośmiu uczonych. Środki pieniężne już są zmobilizowane. Na razie członkowie ekspedycji szereg miesięcy przepędzą w najzimniejszych okolicach Grenlandji, aby przyzwyczaić się do klimatu, zarówno, jak do sposobu życia eskimosów i uniknąć w ten sposób trudności, które uniemożliwiłyby przedsięwzięcie Harrisa w r. 1911.

Dopiero po tym „treningu" ekspedycja Krügera wyruszy z północnego cypla Grenlandji ku szóstej części świata. Dzienniki niemieckie zapewniają, że pan Krüger jest pełen nadziei, i że według jego obliczeń, w ciągu roku przyszłego szósta część świata zostanie odkryta i wzięta w posiadanie.

KÖNYV TÁRA

BIBLJOTEKA GROSZOWA.

4. *London J.* Zew Krwi.
5. *Dygasiński A.* Z pod ciemnej gwiazdy.
10. 11. *Kraszewski J. I.* Hrabina Cosel 2 t.
12. — Ostatni z Siekierzyńskich.
13. *Dumas A.* (syn) Dama Kameljowa
14. *London J.* Wyga.
15. *Twain Mark.* Król i Osioł.
16. *Winawer B.* Lepsze czasy.
17. *Dickens K.* Opowieść wigilijna.
18. *Wells G. H.* Niewidzialny.
18A. *Kleszczyński Zdz.* W latarni.
19. *Erckman-Chatrian.* Opowiadania Alzackie.
20. *Winawer B.* Ślepa Latarka
21. *Wells G. H.* Wehikuł czasu
23. *Dygasiński A.* Złamane Życie
24. *Grubiński W.* Nowele
25. *London J.* Prawo białego człowieka
26, 27. *Gallet.* Przygody Cyrana de Bergerac. 2 t.
28. *Winawer B.* Dr. Przybram.
29. *London J.* Odszczepieniec.
30. *Dzikowski St.* Gracz
31. *Perutz L., Frank P.* Cud Ulama Singh'a.
32. *Emil Zola.* Za jedną noc.
33. *Ligocki E.* Powrót Beatryczy
34 *Pirandello K.* Czerwona Książeczka
36. *London J.* Serce kobiety.
37, 38, 39 — Wilk morski.
40. — Odyssea Północy.
41. — Przygody w zatoce San Francisco.
42. — Bóg Ojców Jego.
43. *Gomulicki W.* Siódme Amen
44. *Calderon V. G.* Zemsta Kondora.
45. *Lafcadio Hearn.* Czerwony ślub.
45A *Maupassant.* Szalony.
48. *Daudet* Przygody Imci Pana Tartarena z Taraskonu.
49 *Zola Emil.* Marzenie.
50, 50A *Tetmajer-Przerwa.* Romans Panny Opolskiej, 2 t.
51. *Daudet A* Przygody Tartarina w Alpach.

W DRUKU:

Amundsen. Do bieguna Północnego.
Andersen. Bajki.
Daudet. Mały (Le Petit Chose).
Flaubert G. Salombo.
Gomulicki W. Grand Muszkieter.
Hugo W. Nędznicy.
Hoffman. Opowiadania.
Jokay M. Atlantyda.
Junosza Kl. Na bruku.
Jagniątkowski. W legji cudzoziemskiej.
Sewer. Bajecznie kolorowa.
Tetmajer-Przerwa Kaz. Otchłań.
— Księżniczka Metella.
— Anioł śmierci
— Na skalnem Podhalu
Walter Scott. Ryszard Lwie Serce.